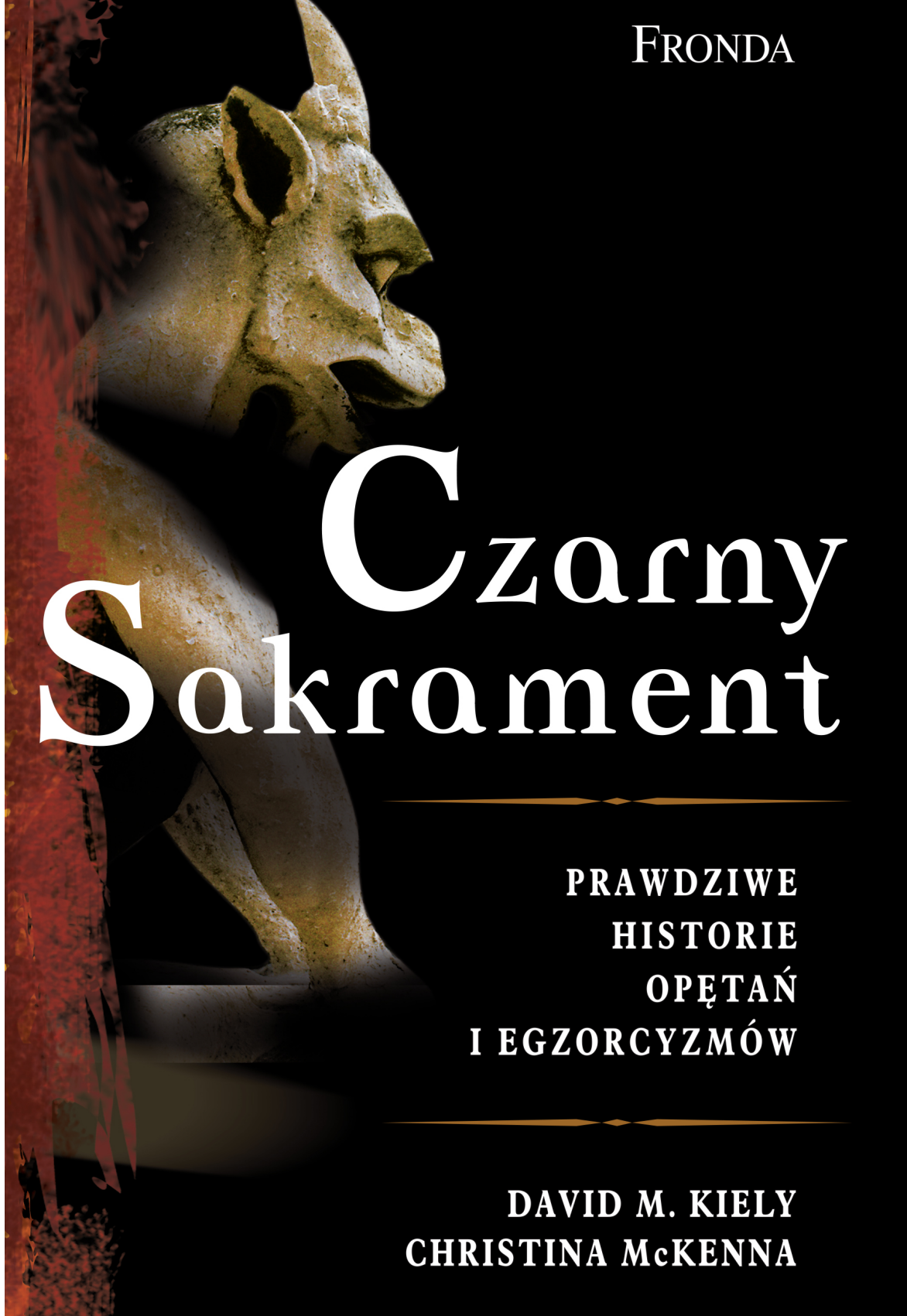




FRONDA

Czarny Sakrament

PRAWDZIWE
HISTORIE
OPĘTAŃ
I EGZORCYZMÓW

DAVID M. KIELY
CHRISTINA McKENNA

CZARNY SAKRAMENT

[Kup książkę](#)



David M. Kiely
Christina McKenna

CZARNY SAKRAMENT

Prawdziwe historie
opętań i egzorcyzmów

Tłumaczenie
Paweł Kopycki

FRONDA



[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału
THE DARK SACRAMENT: True Stories of Modern-Day
Demon Possession and Exorcism

Copyright © 2007 by David M. Kiely and Christina McKenna. All rights reserved.

Copyright © 2010 for the Polish Edition by FRONDA PL sp. z o. o. Warszawa.

Tłumaczenie
Paweł Kopycki

Redakcja i korekta
Edyta Malinowska-Klimiuk

Projekt okładki
Piotr Promiński

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer, www.pandawer.pl

Źródła fotografii
s. VI: Musée du Petit Palais, Avignon. AFP/EAST NEWS
s. XXXVIII: Wielebny Lendrum, fotografia dzięki uprzejmości „Belfast Telegraph”
s. 164: zdjęcie pierwszego planu David Kiely, zdjęcie drugiego planu James Miller

Zamieszczone w książce cytaty biblijne pochodzą z *Biblii Tysiąclecia*,
wyd. IV, wersja online, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.

ISBN 978-83-62268-80-1

Wydawca
FRONDA PL sp. z o. o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
fax (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl

Redaktor prowadzący
Robert Jankowski

Organizacja druku
PanDawer
www.pandawer.pl

Wydanie I

[Kup książkę](#)

*Ciemności nie mogą zasłonić światła.
Mogą jedynie jeszcze wyraźniej ukazać Boga.*

Anonim



Archanioł Michał zabijający smoka
Josse Lieferinxe (ok. 1500 r.)

[Kup książkę](#)

SPIS TREŚCI



Ważna informacja | IX

Dlaczego powstała ta książka? | XIII

Wprowadzenie: Egzorcyzm w naszych czasach | XVII

CZĘŚĆ PIERWSZA

KANONIK: WIELEBNY WILLIAM H. LENDRUM | 1

Heather: Przypadek ducha przodków | 7

Gospodyni domowa i demon Dubois | 39

Chłopiec, który obcuje z demonami | 69

Niespokojny duch dziewczynki o imieniu Sarah | 103

Mała Lucy i rodzina zjaw | 139

CZĘŚĆ DRUGA

ZAKONNIK: OJCIEC IGNACY McCARTHY | 165

Otchłań piekielna pod paleniskiem | 171

Pan Gant i sąsiad z piekła | 209

Heski żołnierz, który powrócił, aby dręczyć | 233

Kobieta, która opuszczała swoje ciało na życzenie | 255

Potworność na półwyspie Dingle | 309

DODATEK 1: Egzorcyzm i historia | 359

DODATEK 2: Modlitwa do Michała Archanioła | 379

DODATEK 3: Pancerz św. Patryka lub Lorica św. Patryka | 383

DODATEK 4: Modlitwy egzorcyzmu | 387

Wybrana bibliografia | 389

Przypisy | 393

Podziękowania | 417

WAŻNA INFORMACJA



Mają Państwo przed sobą opis prawdziwych, z życia wziętych przypadków egzorcyzmu we współczesnej Irlandii. Przygotowując *Czarny sakrament*, przeprowadziliśmy wywiady z wieloma osobami mieszkającymi w tym kraju. Poza jednym wyjątkiem, wszyscy bohaterowie dzieściu przypadków, które postanowiliśmy włączyć do książki, są tego w pełni świadomi. Ten odosobniony przypadek opisaliśmy zaś, opierając się o wyczerpujące wyjaśnienia jego kluczowych świadków.

Nazwiska występujące w tej książce są fikcyjne, z wyjątkiem wielbego Williama H. Lendruma – egzorcysty, który w Irlandii cieszy się już uznaniem i który zgodził się na opublikowanie jego nazwiska. Od samego początku zapewniliśmy naszych rozmówców, że jeśli będą sobie tego życzyli, to pozostaną anonimowi. Wszyscy z wyjątkiem kanonika Lendruma wybrali anonimowość.

Są wśród nich osoby, które prosiły, abyśmy poszli jeszcze dalej, abyśmy zmienili ważne szczegóły, takie jak otoczenie i mniej ważnych świadków czy uczestników, tak aby nie można było zidentyfikować osób, których wprost te przypadki dotyczą. Osoby te obawiały się takich czy innych działań o charakterze odwetowym.

Dlatego, z powodów, o których wspomnieliśmy powyżej, czytelnik powinien mieć świadomość, że tam, gdzie było to możliwe, zmieniliśmy okoliczności rodzinne w stosunku do sytuacji pierwotnych, na przykład liczbę osób stanowiących dane gospodarstwo rodzinne, płeć potomków i tak dalej. W podobny sposób zmieniliśmy otoczenie. Kiedy przyglądamy się wydarzeniom, które naprawdę miały miejsce, powiedzmy, na miejskim rynku, prawdziwa nazwa miasta nigdy nie zostaje użyta.

Przenieśliśmy te wydarzenia do miejsc w innej części Irlandii, aby zabezpieczyć prywatność naszych rozmówców – zarówno osób świeckich, jak i duchownych. Alternatywą takiego rozwiązania byłby tekst nadmiernie obciążony wyrażeniami typu „John W– mieszkał w mieście T–”. To jednak byłoby mniej niż satysfakcjonujące. Ponadto we wszystkich przypadkach poszczególnych duchownych umieściliśmy w innych parafiach niż ich własne.

Zrekonstruowaliśmy także pewne sceny i rozmowy, aby zyskała na tym narracja, dbając jednocześnie o to, by te rekonstrukcje pozostawały wierne istocie danego nam świadectwa.

Podchodziliśmy do naszego zagadnienia w duchu bezstronnego dociekania. Bardzo uważaliśmy na to, aby podczas badania opisów przejawów paranormalnych zjawisk przekazywanych nam przez ofiary i świadków nie wyciągać pochopnych wniosków. Zdajemy sobie sprawę, że nikt – w tym także świadkowie – nie może być pewny, że jakiś pojedynczy opis jest obiektywny i ten fakt bardzo mocno braliśmy pod rozwagę, gdy tworzyliśmy ostateczne zestawienie.

Połączenie wiary i rozumu decydowało w końcowych analizach o tym, że odrzucaliśmy jakiś przypadek, a inny wybieraliśmy. Gdy poszczególne wypowiedzi zestawialiśmy ze sobą, wkrótce stawało się oczywiste, czyje zeznania były wiarygodne, a czyje należało odrzucić jako fantazję. Te dziesięć przypadków, które zaprezentowaliśmy, jest – zgodnie z naszą najlepszą wiedzą – wiarygodnych.

Nie potrafimy z wystarczającą mocą wyrazić naszej wdzięczności dla dwóch grup ludzi, dzięki którym możliwe było powstanie tej książki.

Pierwszą grupę stanowią egzorcyści: ci Boży ludzie, którzy chętnie zgodzili się obdarować nas swoją wiedzą i doświadczeniem.

Drugą grupą są ofiary: te osoby, które przeszły ciężką próbę – trwającą w niektórych przypadkach wiele lat – kiedy były dręczone przez byty paranormalne. Dobrowolnie i chętnie poświęcały swój czas na rozmowę z nami, często było to wiele godzin w ciągu wielu spotkań. A robiły to z najbardziej altruistycznych i bezinteresownych powodów; ich głównym pragnieniem było podzielenie się z innymi osobami swoimi

traumatycznymi doświadczeniami. Zrobiły to w przeświadczeniu, że inni, zdając już sobie sprawę z możliwego zagrożenia, nie będą musieli cierpieć tak jak oni.

Składamy hołd ich odwadze.

DAVID M. KIELY

CHRISTINA MCKENNA

ROSTREVOR, 2007

DLACZEGO POWSTAŁA TA KSIĄŻKA?



Pamiętam tamten szary grudniowy poranek. Siedziałam w salonie przy oknie, z brodą opartą na parapecie, i patrzyłam na przysłonięte mgłą góry, zroszoną trawę i na siedzącą nieruchomo na słupku ogrodzenia wronę. Wszystko takie ciche, zasłonięte, schowane, tak jakby świat podniósł palec do ust w geście ostrzegającego uciszania.

A wtedy nagle z mgły wyłoniły się dwie ciemne sylwetki zmierzające w stronę domu: egzorcysta i jego pomocnik.

CHRISTINA MCKENNA

Moja matka nosiła żółtą suknię, 2004

Kiedy ukończyłam 11 lat, odkryłam dwie zapadające na zawsze w pamięć rzeczy: jedna dotyczyła twórczości, a druga duchowości. Te dwa odkrycia łączyły się ze sobą i po pewnym czasie zlały się w coś jednego, dając mi większe zrozumienie tej podróży, którą nazywamy życiem. Dzięki podarowanym mi przez matkę farbom olejnym i zrobionej dla mnie przez ojca sztaludze, nauczyłam się malować. Tamtego właśnie dnia skończyłam mój pierwszy obraz, nagle otworzyły się drzwi do nowego świata. Był to daleko bardziej mroczny świat niż ten, który tak pieczołowicie przedstawiłam na płótnie.

We wczesnych godzinach pewnego październikowego poranka dziwny „gość” nawiedził nasz dom i pozostawał w nim przez sześć długich i przerażających tygodni. Na początku zachowywał się bardzo cicho. Zakradł się do sypialni moich młodszych braci, gdzie najpierw stukął cichutko pod dużą dębową szafą, a potem zajął miejsce pod łóżkiem.

W ciągu kolejnych dni stukanie przeszło w skrzypienie, tak jakby coś drapało spód materaca; dźwięk ten stawał się coraz głośniejszy,

aż zmienił się w walenie w ściany i drzwi. Wszyscy byliśmy przerażeni i zrozpaczeni. Gdziekolwiek siedł mój mały brat, to podążało za nim. Moi rodzice zabrali go do sanktuarium maryjnego w Knock w hrabstwie Mayo, lecz to było z nimi w samochodzie, znów usłyszeli to pod jego łóżkiem hotelowym, a potem śledziło go przez całą drogę do domu. Nie mógł chodzić do szkoły. Nie mógł spać i w następstwie tego, co się działo, żadne z nas także nie mogło spać – nikt z jego trzech braci i pięciu sióstr.

Z perspektywy czasu widzę, że ta istota odpowiadała temu, co w środowisku osób zajmujących się zjawiskami paranormalnymi jest znane jako duch złośliwy albo duch hałasujący. Przedstawił się poprzez pukanie, potem stał się głośniejszy i bardziej uciążliwy, przewracał meble, przesuwiał przedmioty, wyrzucał nas z łóżek. Obrął sobie dziecko jako cel działań i był bardziej aktywny w godzinach nocnych. I chociaż nie wydawał się mieć szczególnie złych zamiarów, mieliśmy poczucie, że im dłużej pozostanie niepokohamowany, tym bardziej wzrośnie nasz strach i tym większe będzie prawdopodobieństwo, że stanie się bardziej zło-wrogi.

Pamiętam gorączkowe poszukiwania, jakie podjęła moja matka, żeby znaleźć księdza, który będzie potrafił wypędzić naszego lokatora. Przypominam sobie także moje kolana, bolące od zimnej podłogi sypialni mojego brata, gdzie klęczeliśmy całą rodziną, odmawiając różaniec za różańcem. I wiele Mszy odprawionych w tym pokoju. I szereg księży, którzy przychodzili i odchodzili. Wszystko nadaremno.

Aż w końcu przybył specjalny ksiądz, który znał się na „takich sprawach”, a którego pokora i świętość nadawały mu wyjątkowy i rzadki status egzorcysty.

Zachowałam w sobie obraz tego niezwykle człowieka. Jest to wysoki mężczyzna, emanuje z niego dostojałość, ubrany jest całkowicie na czarno. Kiedy wchodzi do naszego domu, głaszcze nas, dzieci, po głosach, łagodnym głosem krótko rozmawia z moimi rodzicami, potem udaje się do pokoju, w którym duch dawał o sobie znać, i cicho zamyka drzwi.

Jeszcze ważniejszy od wspomnienia jego wyglądu jest wspaniały efekt, jaki pozostawił po sobie. Lęk i chaos poprzednich tygodni zostały całkowicie usunięte, a zapanował ogromny pokój. Dokonał tego, co ja uznawałam za cud. Byliśmy wolni.

Nasz upiorny gość nigdy nas już więcej nie odwiedził.

Od tamtego epizodu sprzed lat często zastanawiałam się nad naturą tego widmowego wszechświata i nad tym, jak to się dzieje, że egzorcysta może mieć taką moc w tym wszechświecie. Jakiego rodzaju istoty żyją w nim, na tym innym świecie? Dlaczego one czasami przenikają do naszego świata i niepokoją nas? Co dokładnie robi egzorcysta? Dlaczego niektórzy ludzie stają się celem dla istot z tamtego świata, a inni nie? Czy to wszystko jest częścią Bożego planu? Czy przyciągamy do siebie takie istoty przez naszą dobroć czy nikczemność, przez naszą ignorancję, czy przez nierozwiązane sprawy naszych przodków?

Ta książka stara się odpowiadać na te pytania i zarazem rozwiązać trochę niewiedzy czy ignorancji, jaka otacza te niepokojące, lecz jednocześnie fascynujące zagadnienia.

Sokrates twierdził, że jest tylko jedno dobro – wiedza – i tylko jedno zło – ignorancja. Mamy nadzieję, że do czasu, gdy skończycie czytać *Czarny sakrament*, będziecie skłonni zgodzić się z tamtymi mądrymi słowami.

CHRISTINA MCKENNA

ROSTREVOR, 2007

WPROWADZENIE

EGZORCYZM W NASZYCH CZASACH



Moi drodzy bracia, nie zapominajcie nigdy, gdy słyszycie o chełpieniu się postępem oświecenia, że najbardziej wyrafinowaną ze sztuczek diabła było przekonywanie nas, że on nie istnieje.

CHARLES BAUDELAIRE

Twardy gracz, 1864

To jest mroczna książka. Jest to także książka wyjaśniająca w specyficznym sensie, ponieważ usiłuje rzucić trochę światła w najbardziej mroczne i tajemnicze obszary ludzkiego doświadczenia. Robiąc to, zakwestionuje poglądy czytelników na temat życia na ziemi, życia pozagrobowego oraz – z braku lepszego wyrażenia – wymiarów, które znajdują się poza rzeczywistością fizykalną. Mówiąc ogólnie, ta książka podejmuje tematykę zagadnień paranormalnych.

Traktuje ona o pojęciu szatana, znanego także jako diabeł, i bada tę możliwość, że on może, mimo wszystko, być realną, a nie tylko baśniową istotą.

Taka hipoteza zdziwi racjonalnie myślących ludzi; inni niewątpliwie uznają to za zatrważające. Jeszcze inni będą sądzić, iż najwyższy czas, żeby zacząć prawdziwą walkę i stanąć twarzą w twarz z „ogromnym smokiem” z Apokalipsy św. Jana.

Jest jeden poważny problem: bardzo niewiele wiadomo o tym nieuchwytnym nieprzyjacielu. Kiedyś, w innych czasach, diabeł był tak dobrze określony jak przeciwnik z krwi i kości. „Wysoko na tronie królewskiego państwa” – pisał John Milton – „szatan pełen uniesienia usiadł... królewska rozwaga i majestat zajaśniały na jego twarzy pomimo rozpadu”.

Te słowa pojawiają się już na samym początku *Raju utraconego*, wielkiej epopei, w której poeta przypomina wydarzenia poprzedzające wydalenie anioła Lucyfera z nieba. Opis piekła brzmi dziwnie dla naszych uszu, choć jeszcze w czasach Milтона – poemat został opublikowany w 1667 roku – wizje autora były akceptowane. Są tam płonące jeziora i pieczary* pełne licznych zastępów armii demonów**, wszystkie pod wodzą jasno określonej hierarchii generałów, na czele których stoi sam szatan.

Tylko nieliczni chrześcijanie żyjący w XVII wieku wątpili w istnienie piekła i jego władców. Przypominała o tym sztuka kościelna: obrazy, rzeźby, witraże, napomnienia bestiariuszy***. Nawet przerażające gargulce umieszczane na katedrach były ukształtowane według bardzo dokładnego i ogólnie panującego wówczas obrazu, ukazującego, jak demony naprawdę wyglądały; w XVII wieku cała sztuka była sztuką figuratywną. Było ogólnie przyjęte, że diabeł jako taki był stworem z rogami i rozwidlonym ogonem, który może czasami ukazywać się także jako wąż.

PRZED OŚWIECENIEM

W naszych czasach traktujemy to wszystko jak przesąd, infantylne wymysły prymitywnego społeczeństwa. W pewnym stopniu takie myślenie jest usprawiedliwione; XVII wiek wydaje się nam tak bardzo odległy. Chociaż William Harley odkrył krążenie krwi w 1628 roku, ludzie jemu współcześni wciąż trzymali się przestarzałych lekarstw na wszystko. Na przykład mnóstwo lekarzy uważało, że wiele chorób wynikało z „nastroju” i że pijawki – do „puszczania” krwi – mogły pomóc w wielu przypadkach. Czarodzieje budzili lęk. W całej Europie, szczególnie w Niemczech, nieznaną liczbę ofiar, może dziesiątki tysięcy, poddano torturom i doprowadzono do śmierci wskutek podejrzenia, że były one czarownicami.

Tak zwane „wielkie polowanie” na czarownice w Anglii i innych państwach Europy trwało dwa wieki i dobiegło końca około 1650 roku. Do tego czasu nie było już więcej czarownic, prawdziwych czy wyimaginowanych, do spalania.

W Ameryce ta histeria miała trochę dłuższy przebieg – w rzeczywistości o cztery dekady. W małej miejscowości Salem w Massachusetts w marcu 1692 roku dziewięcioletnia Betty Parris zaczęła się dziwnie zachowywać. Wpadała w trans, trzepotała rękami, jakby próbowała latać i wydawała z siebie zwierzęce odgłosy. Lekarze byli skonsternowani, co pogłębiło się jeszcze, gdy „chorobą” Betty zaczęli się зараżać jej przyjaciele. Zaczęła się sprawa czarownic z Salem. Wszystkie tragiczne wydarzenia, które nastąpiły potem, doprowadziły do śmierci nie mniej niż 22 mężczyzn i kobiet, wszyscy zostali oskarżeni o czarnoksiężstwo. Dziewiętnaście osób powieszono, pozostałe były torturowane i zostały zamęczone na śmierć; wielu ludzi dostało obłądu w więzieniu. Wszystkich oskarżono o zawarcie paktu z diabłem; żaden przypadek nie został nigdy udowodniony.

Trzeba pamiętać, że do Oświecenia powszechnie przyjmowano, że wszystkie choroby – szczególnie zaraza – były karami Bożymi, a nie skutkiem niedostatecznej higieny, co z pewnością było przyczyną wielu z nich. A jeśli jakieś choroby nie pochodziły z gniewu Bożego, to były dziełem diabła, jego demonów i jego ziemskich zwolenników.

W świecie takich przekonań i niewiary nie zaskakuje fakt, że to złym istotom przypisywano odpowiedzialność za choroby psychiczne i utrzymywano tak do późnych lat XVIII wieku. Dopiero lata bezpośrednio poprzedzające wiek XX były świadkiem zbliżania się podejścia naukowego wyjaśniającego nasze miejsce we wszechświecie. To za sprawą kosmologii zabrakło przestrzeni dla Lucyfera i jego nikczemnych współpracowników. Podczas gdy pojęcie nieba – lub w każdym razie pewnego rodzaju życie pozagrobowe – pozostało artykułem wiary chrześcijańskiej, idea ognia piekielnego i wiecznego potępienia, z całą towarzyszącą jej średniowieczną wizją, przestała być traktowana poważnie. Poczuliśmy, że wyrosliśmy z takiego prymitywnego myślenia.

WIEK NAUKI

Zamknięciu bram piekła towarzyszył początek wielu dziedzin nauk medycznych: dyscyplin, które mogły wreszcie wyjaśnić, odwołując się

do naturalnej argumentacji, to wszystko, co tradycyjnie przypisywano wpływom demonicznym. Nawet jeszcze przed nastaniem XX wieku, kiedy ludzie dołączali różne imponujące etykiety wielu zespołom chorobowym, uznano, że opętanie i dręczenie nie były niczym innym jak tylko symptomami typowymi dla „schizofrenii” i innych rodzajów psychoz. Odkryto, że wiele takich chorób może zostać wyleczonych – a jeśli nie wyleczonych, to przynajmniej powstrzymanych – przez umieszczenie w zakładzie zamkniętym, terapię elektrowstrząsową, pomoc psychologiczną i – w ostatnim czasie – przez zaaplikowanie odpowiednich środków farmaceutycznych.

Oczywiście, nie ma w tym wszystkim niczego złego i nierozsądnie byłoby lekceważyć tak niezwykle osiągnięcia w leczeniu różnych chorób psychicznych. Lecz napotykamy tutaj pewną trudność. W pośpiechu i entuzjazmie, z jakimi przyjmowano nową „naukę” psychiatrii, lekarze łatwo odrzucali wiarę w siły zła, opętanie i dręczenie przez demony i przypisywali naturalne przyczyny wszystkim chorobom psychicznym o nieznanym podłożu. Można utrzymywać, że w wyniku tego ułatwili zadanie samemu szatanowi, którego chcieli wyeliminować.

W każdym razie w ostatnich latach niechętnie weryfikowano takie podejście. Podczas gdy większość psychiatrów satysfakcjonuje diagnozowanie chorób psychicznych w kategoriach anormalnego funkcjonowania mózgu, zachwiania równowagi chemicznej, zaburzenia osobowości spowodowanego przez naturę czy wychowanie, są także tacy, którzy przyznają, że niewielki procent przypadków wydaje się umykać naukom medycznym. Krótko mówiąc, te przypadki opierają się wyjaśnieniu i rzeczywiście wykraczają poza znaną diagnostykę chorób psychicznych. Interesujące w tym twierdzeniu jest to, że wiele z tych wyjątkowych przypadków przejawia symptomy, które tradycyjnie były kojarzone z wpływem demonicznym.

MILENIJNE ROZGORĄCZKOWANIE I DIABEŁ

W naszych czasach zagadnienie demonicznego opętania pozostawało zapomniane aż do stosunkowo niedawna. Wiele osobom wydawało

się, że to „nagłe” zainteresowanie okultyzmem pojawiło się jakby znikąd. Zwracają one uwagę, że przed 60. latami ubiegłego wieku wśród większości społeczeństwa nie było miejsca dla diabła. Musiało się to zmienić, gdy w 1966 roku Howard Santon Levey ogłosił się Antonem Szandorem LaVeyem i założył Kościół Szatana w San Francisco.

Jest prawdopodobne, że Levey, który zmarł w 1997 roku, był kimś więcej niż tylko sprawnym specem od reklamy, który nie brał na poważnie swojego kultu diabła. Ponadto zapoczątkował on swój „ruch” w czasie, gdy Timothy Leary*, harwardzki wykładowca psychologii, eksperymentował z LSD i innymi „rozszerzającymi umysł” środkami farmakologicznymi. Levey miał niewielkie trudności z przyciągnięciem zwolenników. Wraz z założeniem Kościoła Szatana diabeł opuścił ciemności i wyszedł na powierzchnię ziemi.

Być może wyraźny moment pojawienia się tego narko-satanizmu nastąpił w lecie 1969 roku wraz z szaloną rzezią dokonaną na Sharon Tate i innych osobach, które zginęły wówczas razem z nią. Jej sprawcami była „rodzina” Mansona, a ta zbrodnia w sposób oczywisty miała pobudki satanistyczne. Diabeł przybył do Ameryki.

EGZORCYSTA: SZATAN NA TAŚMIE FILMOWEJ

W 1971 roku została opublikowana powieść Williama Petera Blatty’ego zatytułowana *Egzorcysta*, a na jej podstawie powstał film o tym samym tytule.

Rezultaty tej jednej hollywoodzkiej produkcji były sejsmiczne. Do 1973 roku, kiedy nastąpiła projekcja filmu**, o egzorcyzmie rzadko mówiło się w kręgach świeckich, znacznie mniej doświadczonych w tym względzie. To miało się zmienić, skoro przed kinami tworzyły się długie kolejki, a ludzie wychodzili bladzi z przerażenia po obejrzeniu wspaniałej i zarazem zatrważającej ekranizacji książki Blatty’ego, jakiej dokonał reżyser William Friedkin. Twórca filmu miał wielu naśladowców i wprowadził pełną niedowierzania publiczność w zagadnienie, które przez całe wieki kościoły trzymały w tajemnicy przed wszystkimi – z wyjątkiem niewielu.

Zadziwiającym faktem jest to, że od momentu, gdy film został pokazany w Irlandii, Wielkiej Brytanii i innych krajach Europy, nastąpiła istna epidemia symptomów „opętania” prezentowanych przez pacjentów lekarzy psychiatrów, wiele zgodnych z tymi pokazanymi w „Egzorcyscie”. Prostym wytłumaczeniem było oczywiście to, że nastąpiło naśladownictwo i że ci pacjenci, dla których poszukiwanie uwagi było zawsze nieodłączną częścią ich choroby, nie robili nic innego niż wywieranie nacisku na swoich terapeutów. Innymi słowy, to „demoniczne opętanie” było wołaniem o pomoc.

Zasada brzytwy Ockhama mówiąca o tym, że najprostsze wyjaśnienie jest zwykle tym właściwym, mogła oczywiście zostać zastosowana z dobrym skutkiem w większości takich przypadków. Zaledwie garstka wydaje się nie mieścić w ramach racjonalności, opierając się redukcjonizmowi. Przypadek Anneliese Michel jest chyba najgłośniejszy; jeden z ostatnio nakręconych filmów traktujących o „opętaniu”, zatytułowany „Egzorcyzmy Emily Rose”, był luźno oparty na jej tragicznej sytuacji.

Pochodząca z miejscowości Würzburg w Niemczech Anneliese zaczęła doświadczać napadów padaczki i ataków „demonicznych”, gdy miała 18 lat. Biskup dr Josef Stangel skierował przypadek do zbadania przez odpowiednią osobę zajmującą się takimi sprawami, która zdiagnozowała opętanie. Biskup wydał pozwolenie na odprawienie egzorcyzmu, który miał być przeprowadzony przez salwatorianina w asyście miejscowego księdza.

Okazało się, że dziesięć miesięcy odprawianego co tydzień egzorcyzmu nie wystarcza do wyrzucenia istot, które „okupowały” ciało tej młodej kobiety. Rzekomo byli wśród nich Lucyfer, Adolf Hitler, cesarz Neron i Kain. Anneliese znosiła tak straszne męki w ciągu przedłużających się egzorcyzmów, że w końcu zmarła. Zbyt mało uwagi zwrócono na anoreksję Anneliese, która prawdopodobnie przyspieszyła jej koniec: ostatecznie młoda kobieta całkowicie przestała jeść i pić. Sąd uznał obu duchownych oraz rodziców dziewczyny za winnych nieumyślnego spowodowania śmierci wskutek „zaniedbania”; wszyscy czworo – tak orzeczono – pozwolili Anneliese zagłodzić się na śmierć. Każde z nich otrzymało karę sześciu miesięcy pozbawienia wolności, lecz została ona litościwie zawieszona na trzy lata.

W tym samym roku ukazała się przełomowa książka poświęcona egzorcyzmowi. Nosiła tytuł *Zakładnicy diabła*, a jej autorem był Malachi Martin, „zlaicyzowany” ksiądz katolicki. Taka laicyzacja oznacza, że ksiądz, zwykle dobrowolnie, zostaje zwolniony ze stanu kapłańskiego, traci charakter i władzę duchownego. Ojciec Martin był wcześniej jezuitą i pochodził z Ballylongford, z hrabstwa Kerry w Irlandii.

Martin zmarł w 1999 roku w wieku 78 lat i pozostawił po sobie kontrowersyjne dziedzictwo. Jego krytycy twierdzą, że książka *Zakładnicy diabła* była stekiem kłamstw. Nawet wysoko ceniony psychiatra i autor M. Scott Peck oświadcza w swojej ostatniej książce *Ślady diabła*, że Malachi Martin „był chyba najbardziej beczelnym kłamcą, jakiego kiedykolwiek znałem”. Jest to dziwne wyznanie, biorąc pod uwagę fakt, że dr Peck był wielkim wielbicielem i powiernikiem ojca Martina; faktycznie poświęcił on swą książkę zakwestionowaniu doniesień egzorcysty. Ponadto poszedł dalej i zapewnił: „We wszystkim, co głęboko się dla mnie liczyło w moich poszukiwaniach diabła, wiedziałem, że on mówi tylko Bożą prawdę”.

Jakakolwiek by była prawda o jego życiu osobistym i niekonwencjonalnej działalności, książka Malachi Martina wywołała duży skutek zarówno w Kościele, jak i wśród laikatu. Nigdy wcześniej zagadnienie egzorcyzmu nie było badane publicznie i do tego tak szczegółowo przez zawodowego egzorzystę, który ponadto pisał z taką werwą i rozmachem. Książka *Zakładnicy diabła* stała się bestsellerem.

Do tego czasu o opętaniu i egzorcyzmie mówiło się już otwarcie na całym świecie. To nowe zainteresowanie urosło do rozmiarów szaleństwa polowania na demony, zwłaszcza wśród bardziej radykalnych ruchów protestanckich. Do początku lat 80. ubiegłego wieku na spotkaniach modlitewnych w różnych częściach Ameryki wypędzanie demonów z „opętanych” stało się tak rutynową czynnością, jak zbieranie tacy. Te spotkania były budzącymi strach, jeśli nie wprost przerażającymi, wydarzeniami, podczas których ludzie padali w histerii na podłogę, rycząc i bełkocząc. Cała Ameryka uległa takim „wybawiennym posługom”. Wkrótce reszta świata poszła za jej przykładem. Obecnie – w czasie pisanie tej książki – jedna z grup odnowy ewangelicznej o nazwie Ellel

Ministries, oferująca uwolnienie od „nieczystych” duchów, rozprzestrzenia się bardzo szybko. Powstała w Lancaster w 1986 roku i jest już obecna na czterech kontynentach – w samej Wielkiej Brytanii znajdują się cztery ośrodki szkoleniowe. Nawet na Syberii jest „Szkoła pastorów”; dziesięć lat temu takie przedsięwzięcie byłoby ledwie do pomyślenia.

Biskupi Kościoła anglikańskiego są ostatnio coraz częściej niepokojeni szybkim wzrostem liczby takich samowolnych egzorcystów i grup fundamentalistycznych. Czy to odzwierciedla pełną zazdrości obawę, że inni wdzierają się na ich teren, czy może niepokój oparty na dokładnej ocenie faktu, że taka posługa duszpasterska jest coraz bardziej zauważalna? Różnica pomiędzy kościołami o ustalonej przez wieki pozycji a nowo powstającymi polega między innymi na długości i zakresie formacji. Podczas gdy formacja w Kościele anglikańskim wymaga wielu lat studiów, szkolenie w Ellet Ministries trwa zaledwie kilka tygodni. Zajęcia są efektownie opakowane, a używany język mniej pasuje do sali wykładowej, gdzie prowadzone są zajęcia z teologii, a bardziej do seminarium z biznesu. „Strategie i taktyki szatana” są badane z entuzjazmem specjalisty od reklamy oceniającego ostatnią kampanię konkurencji, a szkolenie ukazuje, „jak demony zapuszczają korzenie w ludzkim życiu i prezentują kluczowe zasady, dzięki którym jeńcy mogą zostać uwolnieni”.

Trudno się dziwić, że duchowni ze starej szkoły wyrażają swoje zaniepokojenie. Dr M. Scott poprosił kiedyś ojca Martina o jego opinię o egzorcyzmach – lub raczej o uwolnieniach – odprowadzanych z takim tupetem przez tego typu charyzmatycznych „uzdrowicieli”.

„Oni na ogół wypędzają po prostu swoje własne wymysły” – odpowiedział. „Lecz bardzo rzadko, zwykle przypadkiem, naprawdę łapią prawdziwą rybę”.

NIESPOKOJNI ZMARLI I ZŁE DUCHY

Duchy są czasami rozpoznawane jako „niespokojni zmarli”. Trzeba zaznaczyć, że takie istoty są traktowane jako „dusze” lub „duchy” ludzkie. Należy odróżnić je od istot niebędących ludźmi, takich, które nigdy nie oddychały, a które często określane są jako demony. Jest to tak rozległy

obszar dociekań, że można jedynie dotknąć go teraz w tym miejscu. Robimy to, aby wyjaśnić błędne przekonanie: mianowicie, że cała paranormalna działalność ma w jakiś sposób demoniczne pochodzenie.

Egzorcysta dołoży wszelkich starań, aby zwrócić uwagę na fakt, że choć demonicznemu dręczeniu może towarzyszyć paranormalna działalność, to jest wiele przykładów, w których w sposób oczywisty taka działalność nie występuje. W takich przypadkach egzorcysta musi uwzględnić obecność naziemnego ducha lub duchów.

Takie istoty, określane także jako „niespokojni zmarli”, były przedmiotem interesujących studiów. W połowie XIX wieku zaproponowano wyróżnienie trzech kategorii duchów i każdej z tych kategorii przypisano odrębny poziom na drabinie duchowego rozwoju. Wyodrębniono „niskie duchy” – te uwięzione w świecie żywych, „duchy drugiego stopnia”, które pragną jedynie promować dobro na ziemi, i „duchy doskonałe”, które osiągnęły szczyt swojego rozwoju. Ogólnie rzecz biorąc, te trzy kategorie wciąż są akceptowane przez współczesnych badaczy zjawisk paranormalnych.

„Niskie duchy” są szczególnym przedmiotem zainteresowania egzorcysty. Uznaje się, że podczas ich życia te istoty były połączone z materią, lecz były zbyt słabe, aby rozwijać się duchowo. Z tego powodu nie były w stanie „iść naprzód”, wybierając zamiast tego niepokojenie i dręczenie żyjących. Gdy są najbardziej szkodliwe, mogą być uważane za złe duchy, kiedy zaś powodują najmniej krzywdy, są klasyfikowane jako duchy złośliwe (np. hałasujące lub przesuwające przedmioty).

Te teorie były głoszone obecnie, jeszcze całkiem niedawno, przez wybitnego brytyjskiego psychiatrę dra Kennetha McAlla (1910–2001)*. Zainteresował się on wpływem czy siłą „opętania”, gdy pracował w Chinach jako chirurg-misjonarz. W burzliwych latach wojennych został skonfrontowany z tym zjawiskiem, co poprowadziło go do badania opętania. Postanowił poświęcić swoje życie leczeniu chorób psychicznych z uwzględnieniem przyczyn nie tylko natury psychicznej.

Rewolucyjne tezy dra McAlla sformułowane w jego doniosłej i zarazem nowatorskiej pracy *Uzdrowienie więzi rodzinnych* mówiły o tym, że wielu tak zwanych „nieuleczalnie chorych” pacjentów było ofiarami opętania przez przodków. Twierdził, że poprzez sporządzenie drzewa

genealogicznego potrafił zidentyfikować tego przodka, który miał niekorzystny wpływ na jego pacjenta. Potem można było zerwać więź pomiędzy tym przodkiem a pacjentem przez odprawienie w tej intencji Mszy świętej i przyjęcie przez pacjenta Komunii świętej. W ten sposób przodek był odсылany do Boga, a międzypokoleniowe dręczenie skutecznie zniwelowane.

Była to w efekcie najbardziej niekonwencjonalna forma egzorcyzmu czy uwolnienia. Jest to ważna dziedzina na tyle, na ile bada to, co można nazwać „pośrednim” opętaniem. Dr McAll wywnioskował, że zmarli mogą stać się pionkami czy narzędziami w walce o dusze żyjących, że dusze w stadium przejściowym czy też „zakłócone” dusze mogą zostać opętane przez złego, aby z kolei one opętały żyjących i w ten sposób doprowadziły ich do rozpaczcy albo do czegoś jeszcze gorszego.

„Przejawy zła i ich nieodłączne owoce rozpaczcy, która prowadzi do samobójstwa – jak uważał – noszą na sobie ślady diabła walczącego z tymi, którzy są wrażliwi na »niezdeklarowanych« zmarłych”.

EGZORCYZM: KILKA DEFINICJI

Zanim przejdziemy dalej, może warto zatrzymać się na chwilę i przyjrzeć naszym definicjom. Jeśli chodzi o sam termin, słowo „egzorcyzmować” uległo na przestrzeni wieków pewnej zmianie. Jego korzenie są w języku greckim: *exorkizein* literalnie znaczy „złożyć przysięgę”. Zatem egzorcyzmować oznacza związać demona przysięgą i mocą Boga rozkazać mu odejść i nie niepokoić więcej dręczonego. W naszych czasach można także mówić o egzorcyzmie miejsc i nieożywionych przedmiotów, kiedy w sposób oczywisty przysięga nie jest ani wymagana, ani możliwa do złożenia. Takie egzorcyzmy są powszechną praktyką; na przykład ksiądz będzie egzorcyzmował wszystkie naczynia liturgiczne i paraferalia przed ich użyciem w świętych obrzędach.

Kościół katolicki wyróżnia dwie odrębne formy egzorcyzmu: uroczystą i nieoficjalną. Przed odprawieniem uroczystego egzorcyzmu ksiądz jest zobligowany do otrzymania pozwolenia od biskupa. Są ku temu ważne powody. Po pierwsze, obrzęd musi być odprawiony w imieniu Kościoła i jest on stosowany do wydalenia złych duchów. Jest to niebezpieczne

terytorium, tak czy owak ksiądz styka się bezpośrednio z istnieniem tych istot. Przeprowadzony nieprawidłowo lub przez kogoś niewłaściwie przygotowanego, albo bez odpowiednich kwalifikacji do odprawienia obrzędu, uroczysty egzorcyzm może zakończyć się klęską, zarówno dla ofiary, jak i dla samego egzorcysty. Malachi Martin opisuje przypadek księdza, nazwanego przez niego Michaeliem Strongiem, któremu podczas wojny w Nankin w Chinach nie powiódł się egzorcyzm odprawiany nad opętanym człowiekiem. Ojciec Martin spotkał go kilka lat później, na krótko przed jego śmiercią, i był przerażony pogorszeniem się stanu psychicznego tego księdza, „sprawiał wrażenie ledwie żywego człowieka, z trudem balansującego pomiędzy życiem a ucieczką od życia”. Było oczywiste, że zła istota dała się we znaki zarówno egzorcyzmowanemu, jak i egzorcystcie.

„Mówiąc wprost (powiedział ojciec Strong), zło ma władzę nad nami, pewną władzę. I nawet kiedy poniesie porażkę, wciąż staje do walki, stara się ciebie ugodzić mimo wszystko. Jeśli go nie pokonacie, zło żąda w odwecie ceny strasznej agonii. Zadaje ranę duszy”.

Egzorcyzm uroczysty jest odprawiany raczej rzadko. Wymaga on tego, aby ksiądz *rozmawiał* z istotą, która dokonuje opętania. Głównie w tym względzie egzorcyzm uroczysty różni się od nieformalnego.

Egzorcyzm nieoficjalny może być stosowany w wielu sytuacjach i okolicznościach. Ponadto może być on odprawiony zarówno przez osobę duchowną, jak i świecką. Nie wymagane jest do tego żadne pozwolenie i egzorcysta nie działa w imieniu Kościoła – ani rzymskokatolickiego, ani protestanckiego. Protestancki pastor może być jednak wyznaczony do przeprowadzenia egzorcyzmu, gdy dotyczy on jakiegoś miejsca lub osoby, które są dręczone przez tak zwanych niespokojnych zmarłych – przez dusze zmarłych ludzi.

Jest to ważna różnica. *Krótko mówiąc, egzorcyzm jest stosowany, aby wyrzucić zarówno złośliwe, jak i niepokojące istoty.*

Na koniec trzeba dodać, że termin *uwolnienie* jest dziś używany w szerokim sensie. Mówiąc ogólnie, jest on stosowany zarówno do katolickiego, jak i protestanckiego egzorcyzmu, i jest używany przez większość

wyznań protestanckich, w szczególności przez wspólnoty reformowane. Słowo, które często pojawia się na tych stronach, jest czasami wymieniane z egzorcyzmem, szczególnie gdy odnosi się do oczyszczania miejsca. W ramach chrześcijaństwa generalnie przyjęto, że podczas gdy zarówno protestanci, jak i katolicy duchowni zajmują się uwolnieniem, egzorcyzm jest w przeważającym stopniu obrzędem katolickim.

RZECZYWISTOŚĆ PARANORMALNA I DEMONICZNA

Ustaliliśmy, że działalność paranormalna nie musi koniecznie wskazywać na obecność rzeczywistości nadnaturalnej. (Rzeczywistość nadnaturalna rozumiana jest tutaj jako wyższa, wykraczająca poza materialną czy fizyczną, ale jednocześnie jako niższa rangą od nadprzyrodzonej czy boskiej; słowo „nadnaturalna” pochodzi z łacińskiego wyrażenia *prater naturam*, co oznacza dosłownie „poza naturą”.) Jeden przypadek przedstawiony w tej książce nie ma nic wspólnego z diabłem: chodzi o przypadek małej „Lucy” (strony 139–163), która zobaczyła serię duchów czy zjaw. Trudno jest tłumaczyć niepokoje, jakich doświadczała jej rodzina, jako działania diabła lub innych demonów wpływających w ten sposób na domowników.

Oznacza to jedynie – dalej będzie to widoczne – że inne przypadki zaczęły się od pozornie niewinnych zdarzeń, jak choćby przypadek „dziewczynki o imieniu Sarah” (strony 103–137), stopniowe rozwijanie się w coś bardziej złowieszczonego. To wydaje się być stosunkowo powszechnym zjawiskiem, że działalność tak zwanych duchów złośliwych zmierza ku wrogości. Wielebny John Richards w swoim imponującym studium zatytułowanym *Ale wybrał nas od złego* stara się wyjaśnić to zjawisko. W pewnym miejscu odnosi się do nadprzyrodzonego zjawiska znanego jako „duch złośliwy z Epworth”, które zaczęło się w Doncaster w Anglii w domu rodzinnym Johna Westleya, założyciela ruchu metodystycznego. Był rok 1716 i John miał wówczas 13 lat.

„Trudno jest powiedzieć, czy w tej sprawie było coś demonicznego. Wydaje się, że wszyscy – z wyjątkiem psa – przyzwyczaili się do tej

sytuacji, co sugeruje, że początkowy lęk, jakiego doświadczali dzieci, był w przeważającym stopniu lękiem przed czymś nieznanym niż przed diablem. Lecz trzeba pamiętać, że Proboszcz z Ars* był dręczony przez coś, co A. R. G. Owen nazywa »silnym podobieństwem do działalności duchów złośliwych«. Tym zdarzeniom zwykle przypisywane jest głównie duchowe znaczenie, ponieważ św. Proboszcz z Ars uważany jest za człowieka Bożego i kaznodzieję. Gdy podobne zdarzenia następują w domu Johna i (jego młodszego brata) Charlesa Westley'ów, to też nie można wykluczyć ich duchowego znaczenia. Nawet jeśli nie byłby w to wszystko zaangażowany żaden demon, Wróg cieszyłby się, jeśli interwencja nieznanego otworzyłaby drzwi lękowi, który mógłby jakoś zniekształcić i podważyć życie duchowe młodych chłopców, co byłoby dla nich znacznie większym niebezpieczeństwem”.

Ta ostatnia uwaga Richardsa jest istotna. Zarówno John Wesley, jak i jego brat Charles postanowili zostać chrześcijańskimi duchownymi, idąc w ślady ich ojca. Choć w opisach tamtego dręczenia jest niewiele danych wskazujących na obecność w Epworth demona – a tym bardziej nie widać potrzeby egzorcyzmu – nie ma też dowodu, który wykluczałby pośrednictwo istoty nadnaturalnej. Z powodu tak odległej perspektywy czasowej – od tamtych wydarzeń upłynęło niemal trzysta lat – jest oczywiście niemożliwe precyzyjne określenie natury ówczesnego dręczenia. Niemniej jednak tamte okoliczności przynoszą na myśl słowa wypowiedziane przez księdza katolickiego, z którym przeprowadziliśmy wywiad: „Czart nie będzie tracił czasu, uganiając się za owcami. Zamiast tego uderzy w pasterza. Osłabiając pasterza, może on dobrać się do stada”.

Jaki byłby lepszy cel ataku dla jakiegokolwiek ambitnego demona niż dom trzech duchownych – jednego już czynnego, a dwóch pozostałych przygotowujących się do służby?

PEWNE OPOWIEŚCI KU PRZESTRODZE

„Nie rozumiem, dlaczego dziennikarze robią wokół tego tyle zamieszania” – powiedział prasie ojciec Daniel Corogeanu w czerwcu

2005 roku. „Egzorcyzm jest powszechną praktyką w Kościele prawosławnym. Inni księża stosują moje metody”.

Jego „metody” uwzględniały ukrzyżowanie: przykucie łańcuchem do krzyża młodej zakonnicy, po wcześniejszym związaniu jej i włożeniu szmaty do ust, aby uniemożliwić krzyczenie, gdy była poddawana cierpieniom powoli prowadzącym poprzez męczarnie do śmierci. Zmarła z pragnienia połączonego z szokiem i uduszeniem.

Scenerią nieudolnego egzorcyzmu był klasztor w północno-zachodniej Rumunii, a jego ofiarą dwudziestotrzyletnia zakonnica, Maricica Irina Cornici. Jej śmierć była zwieńczeniem krótkiego, nieszczęśliwego życia, które zaczęło się w sierocińcu, gdzie dziewczyna była systematycznie gwałcona. Trzy miesiące przed śmiercią odwiedziła klasztor, znalazła tam pociechę i postanowiła przyłączyć się do wspólnoty.

Zaczęła słyszeć głosy – z zewnątrz – i przejawiać inne symptomy, które można było skojarzyć ze schizofrenią. Zanim jednak do młodej kobiety wezwano lekarza, zdiagnozowano demoniczne opętanie. Ojciec Corogeanu, duchowy przywódca klasztoru, podjął się egzorcyzmowania jej.

Podczas późniejszego procesu o morderstwo wyszły na jaw dwa istotne fakty. Wyżej wymieniony klasztor, pod wezwaniem Świętej Trójcy, został wybudowany w 2001 roku przez pewnego adwokata i nie został konsekrowany przez Kościół prawosławny. Także Corogeanu nie był „wykwalifikowanym” księdzem; nigdy nie dokończył studiów. Zawsze chciał zostać zawodowym futbolistą lub prawnikiem, lecz wybrał życie duchowne, gdy został usunięty z uniwersytetu.

Przez dziewięć dni cztery zakonnice pomagały „egzorcyście” zapamiętać nad Maricicą; włącznie z przytwierdzeniem jej łańcuchem do krzyża, podczas gdy ojciec Corogeanu wypowiadał nad nią modlitwy.

Kiedy zapytano go, dlaczego nie wezwał najpierw pomocy medycznej, ksiądz odpowiedział: „Nie można wyrzucić szatana za pomocą pigułek. Szatana wypędza się postem i modlitwą”.

W następstwie tragedii biskup zamknął tamten klasztor, a wspólnotę przeniósł w inne miejsce. Ojciec Corogeanu został skazany na piętnaście

lat więzienia za morderstwo, a cztery zakonnice, które mu pomagały, także dostały długie kary pozbawienia wolności. Aby zapobiec dalszym nadużyciom, Kościół prawosławny w Rumunii zobowiązał się do wprowadzenia testów psychologicznych dla mężczyzn wybierających życie monastyczne.

Ten przypadek musi posłużyć jako ostrzeżenie dla tych niewykwalifikowanych „egzorcystów”, którzy mieszają się do spraw duchowych, oraz dla tych, którzy na to im pozwalają. Różni nieuczciwi kaznodzieje – niektórzy wyświęceni w odpowiedni sposób, wielu nie – dostrzegają wpływy demoniczne w niepodejrzewanych o to do tej pory miejscach. Jeśli mamy wierzyć ich czasami szokującym twierdzeniom, demony są u podstaw wszystkich ludzkich dziwactw. Derek Prince, zielonoświątkowy duchowny, który zmarł w 2003 roku, identyfikował demony kofeiny, kompromisu, kosmetyków, krytyki, fantazjowania, plotek, niewierności, masturbacji, nikotyny i senności, a także utrzymywał, że szatan stoi także za zespołem Tourette’a [wrodzone zaburzenie neurologiczne, charakteryzujące się przede wszystkim występowaniem licznych tików ruchowych i werbalnych, opisane w 1885 roku przez francuskiego neurologa Georgesa Gillesa de la Tourette’a – przyp. tłum.].

Frank i Ida Mae Hammond ostrzegają nie tylko przed „demonami” niechrześcijańskich religii, lecz także przed ohydny duchem wegetarianizmu. (Sceptyk mógłby zwrócić uwagę na fakt, że to pochodzące z zachodniego Teksasu małżeństwo działa na niekorzyść stanu, który jest największym producentem mięsa w Ameryce.) Hammondowie mówią o „demonicznych ugrupowaniach”, z których każde obejmuje wiele specyficznych „duchów”. Wśród tych ugrupowań znajduje się „Gorycz”, która obejmuje demony niezadowolenia, nienawiści, nieumiejętności wybaczenia, przemocy, nastroju, gniewu, odwetu i morderstwa. Jest także – najbardziej niepokojące – ugrupowanie nazwane „Chorobą psychiczną”. Zawiera ono obłąd, szaleństwo, manię, upośledzenie, otępienie, schizofrenię, paranoję i halucynacje. Dziwna rzecz, Frank i Ida Mae wydają się nie podzielać poglądu Dereka Prince’a na „demoniczne” pochodzenie zespołu Tourette’a.

Lekarze, co w pełni rozumiałe, są zaniepokojeni tym trendem, tą gotowością dostrzegania demonów wszędzie. Sytuacja jest jednak znacznie bardziej zatrważająca, kiedy jacyś samozwańczy duchowni odpowiadają „egzorcyzm” i na ich rękach umierają ludzie.

PROFIL PRAWDZIWEGO EGZORCYZMU

Zgodnie z *Encyklopedią katolicką*, egzorcystą jest „generalnie ktoś, kto egzorcyzmuje lub jest przygotowany do egzorcyzmowania demonów, w szczególności ktoś ustanowiony przez biskupa do wykonywania tej służby, do czego uzdalnia drugie z czterech niższych święceń Kościoła zachodniego”. Wszyscy wyświęceni księża wyjątkowo są predysponowani do przeprowadzenia uwolnienia.

Jednak w praktyce bardzo niewielu mężczyzn posiada to, co jest potrzebne, aby być *skutecznym* egzorcystą*. Egzorcyści są bardzo szczególnymi osobami. Można nawet powiedzieć, że są oni wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju grupą ludzi. W trakcie naszych badań mieliśmy zaszczyt spotkać kilku z nich. Bez żadnego wyjątku wychodziliśmy z takich spotkań z poczuciem, że mieliśmy do czynienia z niezwykle osobą. Być może Emerson miał takiego człowieka na myśli, kiedy napisał, że „najwyraźniej czujemy, jak wspaniałe spotkaliśmy osoby, gdy utracimy ich obecność”. Skuteczni egzorcyści mają jedną wspólną cechę: pokorę. Oni nigdy nie chwalią się „swoimi” umiejętnościami czy osiągnięciami, nigdy nie starają się wzbudzić w kimś podziwu. Każdy z nich stara się pokazać, że nie jest niczym więcej jak tylko „kanałem”, że on sam nie posiada żadnych specjalnych „zdolności”, które byłyby duchowej czy intelektualnej natury.

Nie jest trudno zobaczyć w tym pewnej symetrii: gdy zaakceptuje się możliwość działania w świecie złych sił, człowiek skupia się na podatności na ich wpływy. Aby zatem walczyć ze złem, trzeba odpowiednio energicznie czynić dobro. Taka sprawność jest ciężko wypracowywana, a nie po prostu dana.

Według zaleceń Komisji ds. Dyscypliny Sakramentów, funkcjonującej w ramach Kościoła katolickiego, egzorcysta powinien „wyróżniać się

pobożnością, wiedzą, roztropnością i nieskazitelnością życia”. W swoim obszernym studium o szatanie, zatytułowanym *Demony! Szatan, opętanie i egzorcyzm*, dr Anthony Finlay wymienia zdolności, jakie powinien mieć „dobry” egzorzysta. „W obliczu często nadzwyczajnych sytuacji – pisze – wymagane są u egzorzysty rzadkie cechy, mocne i niezachwiane właściwości, które zwiększą szanse powodzenia w przerażającej walce przeciwko diablui”.

Przygotowanie jest niezwykle istotne. Duchowe umocnienie się poprzez modlitwę wydaje się być w sposób oczywisty zasadniczym wymogiem, lecz Finlay podkreśla także potrzebę postu przed rozpoczęciem odprawienia obrzędu. Dokonuje on skrupulatnie rozróżnienia pomiędzy ideą postu zaczerpniętą z Pisma Świętego a naszym współczesnym jej odpowiednikiem. „Post w znaczeniu biblijnym – zwraca uwagę – nie jest koniecznie równoznaczny z całkowitym powstrzymaniem się od jedzenia i picia, co samo w sobie fizycznie uniemożliwiałoby lub znacznie utrudniało egzorcyście przeprowadzenie zadania”. Mimo to konsekwentnie twierdzi, że uczniowie Chrystusa – rybacy i inni ubodzy ludzie – byli do tego zadania lepszymi kandydatami niż większość duchownych naszych czasów, głównie dlatego, że apostołowie oraz ci, którzy poszli za nimi, odwrócili się od zbytku i nadmiaru. W naszych czasach coraz trudniej jest znaleźć duchownego, który nie oddaliłby się znacznie od tych pierwszych zasad.

„My [księża] jesteśmy po to, aby nieść ludziom ulgę i trudno jest nam wywiązywać się z tego zadania nawet w takich przypadkach, jak uwalnianie kogoś od wpływu szatana. Ilu z nas odrzuciło dobra światowe i poszło za Nim, co przecież Chrystus uważał za konieczne?... Prostota w zachowaniu, skromność manier, bezpośredniość, brak ostentacji i jakiegokolwiek nadmiaru – to wszystko było regułą Jego postępowania. Jego uczniowie też przejawiali te cechy i pod tym względem o wiele lepiej nadawali się do konfrontacji z diabłem, który stara się opętać Człowieka niż my dzisiaj. Ilu z nas może przyznać, że żyje zgodnie z tymi regułami i ślubami, przynajmniej w Kościele rzymskokatolickim, żyje dobrowolnym ubóstwem i skrupulatnie

przestrzega bezwzględności posłuszeństwa? U wielu dzisiejszych księży widać wyraźnie braki w tym obszarze. Dni modlitwy i postu są uważane jako zbyt uciążliwe i zarazem jako owoc głoślowych deklaracji są odkładane jedynie na uroczyste okazje. Nie jesteśmy dostatecznie przygotowani z naszymi wygodnymi domami, samochodami, służbą domową, sekretarzami, pieniędzmi w banku czy pomysłami na zarabianie pieniędzy, ambicjami i tym wszystkim, na to ogromne zadanie wypędzania diabła”.

Finlay kończy przestrogą, która całkowicie mrozi krew w żyłach. Przypomina nam, że diabeł potrafi przejrzeć na wylot takiego egzorcyście, który jest nieprzygotowany duchowo, mentalnie czy fizycznie.

„On [szatan] wie, że pod pokazem brawury znajduje się czuły punkt, słabość, bezbronność czy podatność na zranienia, w które może on uderzyć. W efekcie on wie, że to on jest tym, który okaże się zwycięzcą. Nieszczęsna ofiara pozostaje w tym wszystkim niezmienna – kiedy ma szczęście. Często jednak taki ksiądz wychodzi z konfrontacji z szatanem w dużo gorszym stanie od pierwotnego”.

BITWA O SERCA I UMYŚŁY

Było do przewidzenia, że uzasadniona krytyka zdemaskuje całą farsę, jaka stoi za źle przygotowanymi egzorcyście. W 2001 roku Michael Cuneo, profesor z Uniwersytetu Fordham, opublikował *Ame-rykański egzorcyzm* (z humorystycznym czy nawet kpiarskim podtytułem *Wyrzucanie demonów w kraju obfitości*). Książka ta obnażyła podejrzane praktyki charyzmatycznych i żarliwych kaznodziejów i ich „posługi uwalniania”. Swój druzgoczący, ostry atak autor skierował na jedną z typowych amerykańskich organizacji – The Faith Movement* (ruch wiary). Zaliczył tę organizację do tej samej kultury, jaką przedstawia „biznes tabloidowej telewizji z jej udawaną powagą, pogonią za wyciskającą łyżę sensacją, dążeniem do pokazywania znanych osób – prymitywna pożywka dla biernych i bezkrytycznych ludzi”; albo jaką

prezentuje centrum handlowe: „społeczność bez relacji, społeczność wyuczona tego, jak unikać relacji”.

To wszystko jest zbyt piękne, aby było prawdziwe – twierdził – ten sfabrykowany amerykański sen. To jest „żywa, dumna, fascynująca karykatura: niemal można oczekiwać, że w każdej chwili to wszystko nagle zmieni się w jedną z kreskówek z Królikiem Bugsem w roli głównej”.

„The Faith Movement jest... kolażem amerykańskich komunałów. Kaznodzieja jak sprzedawca cudownego leku na wszystko albo jak sprzedawca używanych samochodów; kaznodzieja jak showman z Las Vegas. Cudotwórcy w różowych cadillacach z pierścionkami na małych palcach, ratownicy dusz w trzyczęściowych, błyszczących garniturach i fryzurach za sześćdziesiąt dolarów. Taki jest świat organizacji The Faith Movement. Egzaltowana ckliwość, pazerny materializm, łzy na życzenie, oszukańczy błogosławieni z tysiącem słów »amen«. Będąca produktem staromodnych przekupniów, pełnym przesadnego optymizmu i nawiedzenia, organizacja The Faith Movement jest dzisiaj jedną z najszybciej rozwijających się inicjatyw na amerykańskiej scenie religijnej – i zarazem jedną z najbardziej kontrowersyjnych”.

Cuneo relacjonuje, że był obecny na bardzo wielu tego typu uwolnieniach i nie doznał zachwyty. Donosi, że w wielu przypadkach uczestnicy byli świadkami tego, co uznawali za przejawy zjawisk paranormalnych, lecz jemu za żadnym razem nie udzielały się ich doświadczenia. Konkluduje, że większość takich wypędzeń – jeśli w ogóle nie wszystkie – była albo oszukańcza, albo można je łatwo wyjaśnić w kategoriach zaburzeń psychicznych.

Udało się Cuneo spolaryzować całą tę debatę, poddając pod rozważę szerokiemu gronu czytelników następujące pytanie: Komu mamy wierzyć? Dla wielu odpowiedź na to pytanie wydaje się leżeć gdzieś w połowie drogi pomiędzy nauką i zabobonem. Wspomniany powyżej dr M. Scott Peck, który zmarł w 2005 roku, był chyba najbardziej poważaną osobą wśród tych, którzy wybrali ten środkowy obszar.

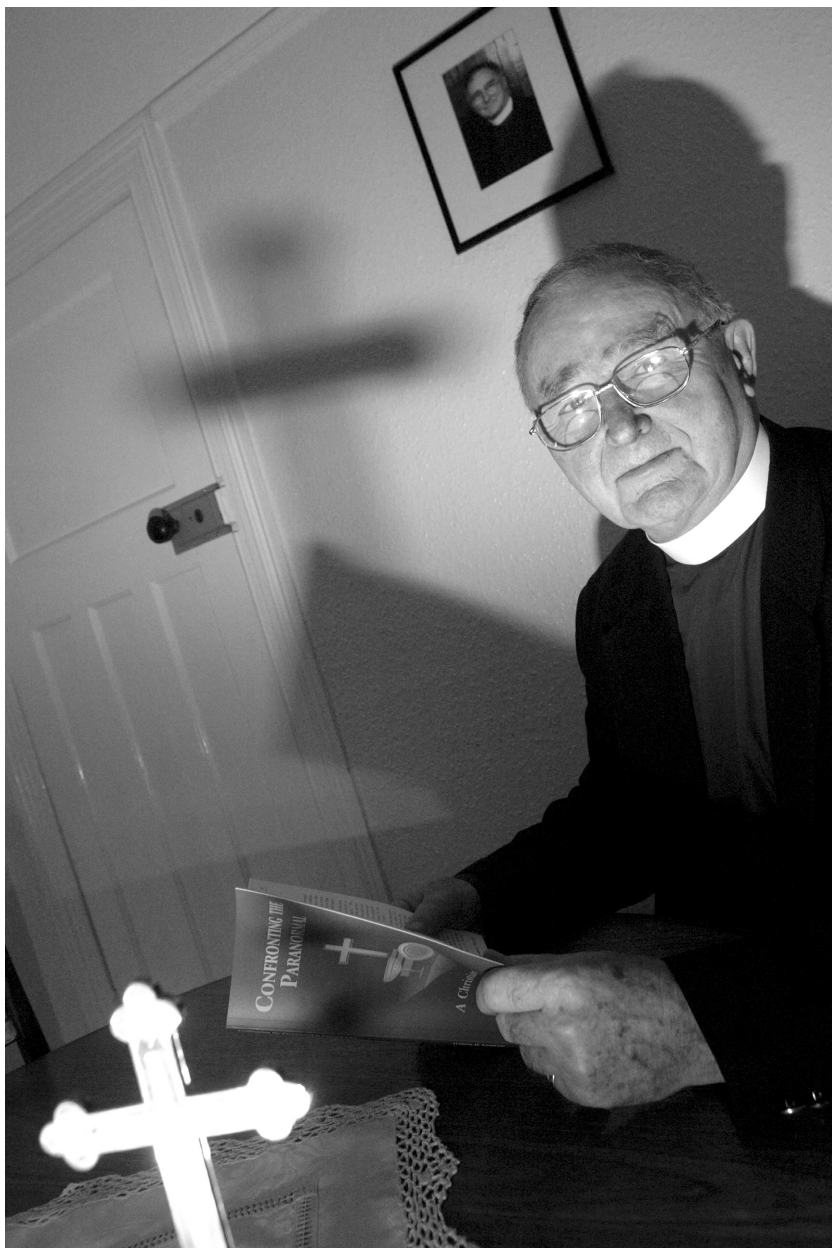
W jednej ze swojej wczesnych książek zatytułowanej *Ludzie kłamstwa* ten psychiatra po Harvardzie nawiązuje krótko do dwóch przypadków ze swojej lekarskiej kartoteki, które skłoniły go do zajęcia takiego stanowiska wobec rzeczywistości nadnaturalnej. Opisuje on szczególnie wstrząsające doświadczenie, podczas którego – przynajmniej dla Pecka – pacjentka przedstawiała sobą niezaprzeczalny dowód demonicznego opętania. Dręczona młoda kobieta wydawała się zmieniać fizycznie na jego oczach. Przypomina sobie, że wyraz jej twarzy „mógł być określony jedynie jako satanistyczny. Był to niesamowicie pogardliwy uśmiech pełen przeraźliwie śmiertelnej wrogości”. Później Peck próbował naśladować ten uśmiech w swoim łazienkowym lustrze, ale okazało się to niemożliwe.

Ta zmiana nie ograniczała się jedynie do twarzy kobiety. Nagle całe jej ciało zaczęło się wić. Zwijąca się na podłodze jak ogromny, wściekły wąż i faktycznie usiłowała kąsać członków jego zespołu. „Jej oczy były jakby leniwe i otepiałe jak oczy jakiegoś gada – przypomina sobie – poza momentami, gdy ten gad rzucał się do ataku, a wtedy te oczy otwierały się szeroko, zionąc nienawiścią”.

W obliczu tak ogromnych przemian psychiatra był zmuszony uznać istnienie jakiejś odrębnej istoty, która była obecna w jego pacjentce. „Teraz wiem, że szatan naprawdę istnieje” – podsumował dr Peck w swojej książce *Spotkałem go*. Wyznał również, że w setkach przypadków, z jakimi miał do czynienia w ciągu swojego życia zawodowego, całe pięć procent symptomów przejawianych przez pacjentów nie mogło być wyjaśnionych w kategoriach współczesnej medycyny.

W zakończeniu swojej ostatniej książki zatytułowanej *Ślady diabła* Peck podsumował swoje przekonania, do których doszedł w trakcie leczenia młodej kobiety nazwanej przez niego Jersey. Sam tylko jej przypadek spowodował jego przemianę z pełnego sceptycyzmu psychiatry w osobę wierzącą w istotę, która była prawdziwym wcieleniem zła. Jego nowo odkryte przekonanie wykroczyło poza wiarę; Peck wiedział z całą pewnością, że taki ktoś istniał i ponadto władał pomniejszych demonami. Napisał:

„Diabeł to według mnie duch, który jest potężny (może być w tym samym czasie w wielu miejscach i przejawiać się na wiele różnych nadnaturalnych sposobów), na wskroś zły (jego jedyną motywacją wydaje się być zniszczenie poszczególnych ludzi lub całej ludzkości), kłamliwy i próżny, potrafiący stawiać pewien opór czy wywierać pewien wpływ wewnątrz umysłu, mózgu, duszy lub ciała podatnych i chętnych na to ludzi – duch, który miał różne nazwy (wśród nich Lucyfer i szatan), który jest realny i naprawdę istnieje”.



Wielebny William H. Lendrum

[Kup książkę](#)

CZĘŚĆ PIERWSZA

KANONIK: WIELEBNY WILLIAM H. LENDRUM

Kanonik Lendrum szybko podkreśla, że jego wykształcenie, osiągnięcia i posługę w Kościele należy oceniać w kategoriach zwyczajności i powszechności. Nie liczy na jakieś specjalne względy i nie utrzymuje, że posiada wyjątkowe talenty czy uzdolnienia.

Urodził się w Belfaście w rodzinie robotniczej w 1924 roku. Opisuje swoich rodziców jako „dobrych ludzi”, którzy wiązali ze swoimi dziećmi ambitne plany, lecz „nie nazbyt religijne”.

W szkole przykładął się sumiennie do nauki i lubił sport. Wkrótce po tym, jak w 1943 roku wstąpił na uniwersytet, uświadomił sobie, że musi podążać drogą duchową.

– Studiowałem handel na Uniwersytecie Królowej (Queen’s University) w Belfaście, kiedy uświadomiłem sobie, że chcę zostać pastorem – przypomina sobie. – Nie było to nic wstrząsającego, nic w tym rodzaju. Po prostu zrozumiałem, jaką drogą muszę pójść w życiu.

Porzucił studia na uniwersytecie i przeniósł się do Wyższego Seminarium Świętej Trójcy w Dublinie (Trinity College Dublin). W 1951 roku, po sześciu latach studiów, został wyswięcony na anglikańskiego księdza.

Dwa lata później ożenił się z Leah. Mają pięć córek i trzynastoro wnucząt.

Od swoich święceń kanonik Lendrum posługiwał w czterech parafiach w Belfaście, był kapłanem w czterech szpitalach i przez wiele lat przewodniczącym komisji Kościelnej Posługi Uzdrawień (Church’s Ministry of

Healing committee). Na początku lat 70. ubiegłego wieku rozpoczął swoją postugę uwalniania i egzorcyzmu.

– Muszę przyznać, że był czas w moim życiu, kiedy mogłem zgodzić się na usunięcie diabła z oficjalnego nauczania Kościoła – tłumaczy. – Wychowywano mnie zgodnie ze światopoglądem naukowym. Nigdy nie było mi łatwo uznać pojęcie bytu, który nazywamy szatanem, Belzebubem, diabłem, a którego celem i zamiarem miałoby być odciągnięcie ludzi od Boga i doprowadzenie do grzechu i buntu. Równie trudno było mi przyjąć nauczanie Nowego Testamentu o tym, że ten byt ma do dyspozycji armię niższych rangą bytów nazywanych demonami, których zadaniem jest sprawowanie kontroli, wywieranie wpływu i niszczenie życia.

Nie mam wątpliwości, że wśród chrześcijan są ludzie, włącznie z biskupami, którzy mają takie same poglądy. Nie mogę ich krytykować czy obarczać winą, bo przez kilka lat po święceniach sam miałem taki mglisty pogląd na tę sprawę.

Jednak w 1974 roku, gdy pastor dobiegł pięćdziesiątki, spotkał młodą kobietę, która pozbaawiła go wszelkich wątpliwości co do tego, że szatan naprawdę istnieje.

– Poznałem Alice, gdy wypełniałem obowiązki kapelana w szpitalu w Belfaście. Miała dwadzieścia kilka lat i doświadczała głębokich emocjonalnych problemów. Regularnie się z nią modliłem. Postanowiła żałować za swoje grzechy i powierzyć swoje życie Bogu.

Została wypisana ze szpitala i oboje z żoną służyliśmy jej pomocą najlepiej, jak tylko potrafiliśmy. Pewnego wieczora zadzwoniła do mnie parafianka, z którą mieszkała Alice. Ta pani poprosiła mnie, żebym przyjechał, bo Alice zachowywała się bardzo dziwnie.

Wielebny Lendrum pojechał tam i był zszokowany tym, że na miejscu spotkał całkowicie inną Alice niż tą, którą znał. Była „pełna gniewu i brzydką”, krzyczała głośno i niemal całkowicie niezrozumiale. Po chwili odkrył w jej mowie coś bardzo dziwnego. Mówiła o sobie w trzeciej osobie, używając słów ona lub jej zamiast ja i moje. Była to pierwsza oznaka, że to mówił demon, a nie Alice.

Podczas tamtego pierwszego egzorcyzmu pastor był nieustannie wyszydzany przez demona. Mówił on: „Nie możesz się mnie pozbyć, ty mały

człowieku! Robisz z siebie głupca. Ona należy do mnie. Znałem ją, zanim się pojawiłaś i tak dalej.

W pewnym momencie Alice zasnęła. Kiedy odzyskała przytomność, zapytała, dlaczego pastor znajdował się w pokoju. Było oczywiste, że od chwili jego przybycia Alice została jakby odsunięta od samej siebie czy zablokowana, a zawładnął nią demon – jej ciałem i duszą.

Kanonik Lendrum zasięgnął informacji o jej otoczeniu i przeszłości. Dowiedział się, że gdy Alice była młodsza, przeszła inicjację w kuldzie satanistycznym. Złożyła przysięgę posłuszeństwa i służyła szatanowi.

Lendrum zdecydował, że trzeba przeprowadzić wielki egzorcyzm. Zgromadził małą grupę ludzi, włącznie z lekarzem, aby mu asystowali, i udało mu się wypędzić kilka demonów. Ale nie wszystkie. W połowie rytuału Alice pobiegła w narożnik pokoju.

– Oni próbują mnie z ciebie wyrzucić, ale to się im nie uda – usłyszano jej słowa. – Zamierzam zostać z tobą.

– Wiedziałem już, że to był beznadziejny przypadek – mówi kanonik. – Po tym wydarzeniu straciłem na nią wpływ. Widywałem ją od czasu do czasu. Prostytuowała się w dzielnicach domów publicznych Belfastu, była wynędzniała i wycieńczona życiem zniszczonym przez demony. Zmarła w wieku czterdziestu kilku lat – znaleziono ją leżącą w drzwiach. Nie możecie sobie wyobrazić przynębiającego przerażenia i smutku, jakie poczułem, kiedy o tym usłyszałem!

Podczas następnych czterdziestu lat kanonik Lendrum widział ogromny wzrost zainteresowania rzeczywistością nadprzyrodzoną. Uważa, że im bardziej materialistyczne staje się społeczeństwo, tym więcej ludzi zwraca się do innych filozofii w poszukiwaniu sensu życia. Wskazuje na ruch New Age jako przykład tego alternatywnego „poszukiwania duszy” i zauważa, że okultyzm jest bardziej popularny dzisiaj, niż był kiedyś.

– Jeśli ludzie nie odnajdą w Kościele tego, czego potrzebują, będą tego szukać gdzie indziej. Jest to poważny akt oskarżenia skierowany przeciwko dzisiejszemu Kościołowi, ponieważ oznacza, że nie udało się nam przekazać wieści, że Jezus jest „Światłością świata” i że ci, co idą za Nim, „mają światło życia”. Nie udało nam się przekonać ludzi, że On jest „Chlebem życia”, który zaspokaja najgłębsze pragnienia ludzkiego serca.

Z jego doświadczenia wynika, że demoniczne dręczenie jest znacznie bardziej powszechne niż opętanie. Jednocześnie przyznaje, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby ludzie, którzy są poważnie opanowani przez demona czy opętani, szukali pomocy Kościoła.

– *Nie mam wątpliwości, że duchy mogą wpływać na ludzkie życie i rzeczywiście to robią. Mogą one odgrywać pewną rolę w wywoływaniu (lub – co bardziej prawdopodobne – pogarszaniu się) sytuacji, które niepokoją i przygnębiają ludzkość, lecz z wielką starannością muszą pilnować tego, aby ludzie nie mieli wrażenia, że są „pod wpływem” lub „zamieszkani” lub „opętani”. Mogą nie być! Czym innym jest bowiem sytuacja, gdy ktoś jest opanowany przez złe duchy czy we władaniu złych duchów, które w tym kimś zamieszkują, a czymś innym bycie, od czasu do czasu, pod wpływem duchów, które są na zewnątrz. Rzeczywiście, prawdą może być powiedzenie, że każdy z nas przeszedł przez doświadczenie bycia zaatakowanym „z zewnątrz” w pewnych momentach życia, choć sobie tego nie uświadamiał. Jakieś zmaganie, które niespodziewanie, niczym nagły wybuch, nachodzi nas w drodze do kościoła. Jakaś nieoczekiwana trudność, gdy robimy coś ważnego dla Królestwa Bożego. Pokusa, która nas ogarnia w chwili, gdy myśleliśmy, że udało się nam ją pokonać! Złe duchy są zawsze wokół, aby wykorzystać nasze słabości.*

Duchy wydają się mieć jakiś kanał dostępu do tych osób, które często doznają takich ataków. Zadaniem egzorcysty jest zganić takiego ducha i rozkazać mu wyjść, zakazać powrotu i zatkać ten kanał, jaki został zrobiony w życiu ofiary.

Kanonik Lendrum bardzo jasno mówi o tym, jakie cechy musi mieć człowiek, który sprawuje posługę uwolnienia i egzorcyzmu. Oczywiście wiara, odwaga, przywództwo i autorytet są podstawowymi atrybutami takiej osoby, lecz „pewną niechęć wobec tego zajęcia i gotowość do postuszeństwa” widzi on jako konieczne zabezpieczenia przed człowiekiem, który mógłby się podjąć tej działalności z niewłaściwych powodów.

– *Błędem jest uważanie, że złe duchy i demony nie istnieją wcale, lecz równie błędne jest widzenie demona za każdym popełnionym złem. Obie postawy są szkodliwe dla świadka Kościoła i jego uzdrawiającej posługi. Sceptykiem jest ten, kto wierzy tylko w to, co może dotknąć i zobaczyć.*

Zgadza się z mądrymi słowami C. S. Lewisa z Listów starego diabła do młodego:

„Są dwa jednakowe w skutkach, choć przeciwstawne sobie błędy, które może popełnić człowiek, myśląc o diablach. Jednym jest brak wiary w ich istnienie. Drugim zaś wiara w to, że istnieją, i odczuwanie nadmiernego i niezdrowego zainteresowania nimi. One same jednakowo cieszą się z obu tych błędów i witają materialistę lub czarodzieja z tym samym zachwytem”.

Kanonik William Lendrum jest wyjątkowym człowiekiem. Choć dawno już przekroczył granicę wieku emerytalnego, wciąż jest nieustraszony i pełen energii. Wydaje się, że dla kilku duchownych, którzy okazali się wystarczająco odważni, by przyjąć budzącą grozę obowiązki egzorcysty, nie istnieje coś takiego, jak spoczęcie na laurach. Zawsze jest ten „jeden ostatni przypadek”, któremu trzeba stawić czoło.

Poniżej opisaliśmy pięć przypadków, które są najbardziej wstrząsającymi zatargami kanonika z diabłem.

HEATHER: PRZYPADEK DUCHA PRZODKÓW



– W pokoju jest demon – oznajmił spokojnym głosem kanonik Lendrum.

Ten spokój był tylko maską. W głębi ducha był przerażony. Nie spodziewał się tego. Kanonik przybył, aby oczyścić dom z naziemnego ducha i myślał sobie, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Zdjął już komżę i zajęty był pakowaniem do swojej teczek naczyń liturgicznych służących do sprawowania Eucharystii. Wtedy usłyszał niskie, groźne warknięcie dobywające się ze stojącej za nim kanapy.

Odwrócił się. Kilka minut wcześniej skromna, młoda kobieta przyjęła Komunię świętą. Teraz ta kobieta była odrażająco zmieniona. Jej szyja stała się niemożliwie wydłużona, skóra na twarzy napięła się, a wargi rozsunęły się w szyderczym uśmiešku. Wlepione w niego płonące nienawiścią oczy nie były już znanymi mu oczami Heather Mitchelson.

Był rok 1992. Kanonik William H. Lendrum, mający wówczas 68 lat, prowadził walkę z istotami nadnaturalnymi już od ponad dwudziestu lat. Teraz, po piętnastu latach, wspomina to wydarzenie z trwogą, ponieważ znacznie się ono różniło od pracy, jaką zwykle wykonywał w swej posłudze. Tamtego dnia, mówi nam kanonik, stanął twarzą w twarz z ogromnym złem; był to przypadek demonicznego opętania, który wymagał wielkiego egzorcyzmu.

Kościół anglikański – bardzo podobnie jak Kościół katolicki – ma ściśle wytyczne, według których musi przebiegać egzorcyzm. Przed przystąpieniem do jego odprawienia pastor jest zobligowany do powiadomienia biskupa. Jest to w dużej mierze sprawa grzecznościowa, lecz w przypadku wielkiego egzorcyzmu jest to święty obowiązek pastora.

Tamtego dnia nie było ani czasu, ani możliwości zawiadomienia biskupa. Dla kanonika Lendruma niebezpieczeństwo, jakie wiązało się z Heather Mitchelson, natychmiast stało się jasne i zrozumiałe. Bezpośrednio musiał przystąpić do działania.

– W pokoju jest demon – powiedział ponownie.

Jego dwóch asystentów nie dzieliło jego spokoju. Siedzieli na krzesłach po lewej i prawej stronie Heather. Wcześniej w skupieniu brali udział w każdym etapie Eucharystii. Obaj byli doświadczonymi uczestnikami świętego obrzędu egzorcyzmu; obaj mieli odpowiednią wiedzę o nadnaturalnych istotach. Z tych wszystkich powodów byli zszokowani, zostali zaskoczeni. Oni także myśleli, że było już po wszystkim.

Teraz Heather rzuciła się do przodu w stronę swojego partnera, Joego. Wyglądał na przerażonego. Dwoma szybkimi, zdecydowanymi gestami kanonik Lendrum dał mu znak, aby usunął jej się z drogi. Joe zaczął wycofywać się w stronę drzwi.

Kanonik nie miał czasu, aby poszukać swoich świętych instrumentów, lecz tak naprawdę ich nie potrzebował; modlitwa powinna wystarczyć. Ruszył w kierunku Heather.

– Ty nikczemny i zły duchu, w imię Jezusa Chrystusa...

– Nigdy się mnie nie pozbędziesz! – kobieta zsuwała się z kanapy, rechocząc i drwiąc. – Ona jest moja, *moja, moja, moja*.

Był to głos bardzo starej kobiety. Wydawał się dochodzić na przemian to z ust młodej kobiety, to z różnych miejsc w pokoju. Młoda kobieta turlała się po podłodze, jej ciało zwijało się i rozwijało, wywieszała obscenicznie język.

Egzorcysta nie miał wątpliwości: były to słowa i zachowania osoby opętanej przez demona. Stosunkowo niedawno przed tamtym wydarzeniem konfrontował się z młodym mężczyzną, który w podobny sposób syczał i wił się, kiedy Lendrum modlił się nad nim. W tamtej sytuacji nie powiodło mu się. Demon wygrał bitwę. Kanonik wspomina mrozące krew w żylach słowa, wypowiedziane mocno zniekształconym głosem, które wyszły z ust młodego człowieka:

– On należy do *mnie*. Nie opuszczę go – po tych słowach mężczyzna wybiegł z domu.

Tym razem kanonik postanowił nie dać za wygraną. Zdeterminowany zebrał pełne mocy słowa, których duchy nieczyste panicznie się boją.

– Mocą autorytetu, który On przekazał swojemu Kościołowi – zain-tonował – zakazuję ci mówić i dręczyć tę kobietę.

Położył rękę na głowie Heather Mitchelson. Cofnęła się odruchowo, kiedy jej dotknął. Po chwili stała już, warcząc. Kanonik cofnął się. Już nie był spokojny.

Nie mógł uwierzyć, że mogła zebrać taką siłę. Miała niewiele ponad 150 centymetrów wzrostu i ważyła może jakieś czterdzieści kilka kilogramów, lecz jej ręce i pięści wydawały się należeć do jakiegoś silnie zbudowanego mężczyzny. Ścisnęła go rękami. Dwaj asystenci rzucili się kanonikowi na ratunek i próbowali ją odciągnąć, lecz podnosząc ramiona, odepchnęła mężczyzn z łatwością walczącego w stylu wolnym zapaśnika, powalając ich na ziemię.

Egzorcysta chwiał się. Kolejne uderzenie w szczękę niemal go przewróciło. Stała się utrzymać równowagę, a w tym czasie asystenci znów spróbowali ją powstrzymać.

– W imię Jezusa, przestań! – zawołał kanonik.

Jego słowa odniosły zadziwiający skutek. Heather upadła na podłogę niczym uderzona jakimś ciężkim przedmiotem. Ciągle jeszcze leżała jak głaz z szeroko otwartymi i nieprzytomnymi oczyma, jakby uszła z niej cała siła. Kanonik, który czuł się już trochę lepiej, lecz wciąż był półprzytomny od uderzeń, jakich doznał, pochylił się nad nią.

– W imię Jezusa Chrystusa, rozkazuję ci wyjawić twoje imię!

Po usłyszeniu słów „Jezusa Chrystusa”, Heather zaczęła mieć gwałtowne spazmy. Asystenci kanonika złapali ją za ręce i za nogi. W tym momencie stanowiła zagrożenie zarówno dla samej siebie, jak i dla innych; wymachiwała bowiem rękami i nogami, nie panując nad swoim ciałem. Lecz stopniowo uścisk zaczął odnosić skutek. Robiąc to bardzo powoli, asystenci przestali przytrzymywać Heather i pozwolili jej usiąść. Kanonik wyjął swój krzyż i modlitewnik.

Heather jakby zapadła się w siebie; posturą zaczęła przypominać kogoś starego i niedołężnego. Zgarbiła się; podbródek opadł jej na piersi. Zaczęła rechotać. Joe, który wciąż stał w swoim bezpiecznym miejscu,

był przerażony. Przypominał sobie inny rechot, inne incydenty. Tak jak się obawiał, teraz znów się to powtórzyło.

– Ona jest *moja*. Ona zawsze była *moja* – to znów był głos starej kobiety. – Nie możesz jej mieć. Nigdy, *nigdy, nigdy!*

– Rozkazuję ci, w imię Jezusa, podaj mi swoje imię.

– Niech cię diabli! – padło przekleństwo z ust Heather.

– Rozkazuję ci, w imię Jezusa Chrystusa, podaj mi swoje imię.

Zauważył, że święte imię trafiło w samo sedno, osłabiając demona.

– Niech cię diabli, niech cię diabli, niech cię diabli – wyrzucała w twarz kanonikowi. – Ona nigdy nie należała do *niego*. Ona jest nasza. My służymy mistrzowi. Zanim plemnik dotarł do jaja, ona była nasza.

Głos zaczął trąkotać, słowa wylewały się strumieniem, jakby nie było nad nimi kontroli, niczym parodia jakiejś dziecięcej wyliczanki.

– Zanim nastąpiła ta rozpusta, ona była nasza! W ciemności macicy ona była nasza. W głębi ogrodu ona była nasza. Zawsze nasza, zawsze nasza... *nasza!* – ostatnie słowo zostało wydobyte z ostrym, chrypiącym sykiem.

Demon grał na czas. Kanonik rozpoznał, że te brednie są desperacką próbą gry na zwłokę. Wkrótce zaczęło się dalsze działanie.

– W imię Jezusa Chrystusa, rozkazuję ci, podaj mi swoje imię.

Ciało Heather znów się wykręcało. Zwinęła się do pozycji embrionalnej i przekręciła na plecy.

– Sal... Sala... Salac... Salaci... Salacia! – wyrzuciła z siebie imię w dzieciennym rytmie staccato.

Na znak kanonika Lendruma asystenci podeszli, żeby przenieść ją z powrotem na kanapę. Powinno to być proste. Jednak nie było: okazało się, że jest nie do ruszenia, jakby była z granitu. Nie mogli jej nawet odrobinę poruszyć; wyglądało to tak, jakby jakaś niewidzialna siła przytwierdziła ją do podłogi. Był to jeszcze jeden znak – tak jakby kolejny dowód był potrzebny – że Heather była demonicznie opętana. Kanonik zrobił krok w jej stronę i podniósł rękę.

– Rozkazuję ci, nikczemny duchu, w imię Jezusa Chrystusa, opuść teraz tę kobietę!

Ciało Heather wydawało się rozluźniać. Rozwinęła się i położyła płasko na plecach, jej oczy wpatrywały się w sufit. Asystenci chwycili ją za ręce i nogi, a kanonik dalej modlił się nad nią.

– Ty nikczemny duchu, mówię teraz do ciebie w imię i z upoważnienia Jezusa Chrystusa. Na mój rozkaz opuścisz tę kobietę, którą dręczyłeś wiele dni i nocy, i odejdiesz na swoje miejsce...

Nagle Heather jakby wystrzeliła do góry. Wyglądało to tak, jakby jakaś niewidzialna ręka pociągnęła ją za włosy. Zgryźliwy wygląd powrócił. Zaczęła ruszać głową na wszystkie strony, śmiejąc się i śliniąc.

Kolejny demon dał o sobie znać; kanonik był tego pewny. W wyglądzie Heather zaszła teraz wyraźna zmiana. Tym razem jej twarz wydawała się spłaszczać; usta jakby zwiędły.

– W imię Jezusa Chrystusa, rozkazuję ci...

– *Nigdy* jej nie opuścimy – ogłuszający ryk przeszył słowa kanonika. Ten nowy głos był całkowicie niepodobny do głosu starej kobiety; zdawał się wyłaniać wprost z podłogi. – Najpierw ją *zabijemy!*

Potem ten głos przyjął intonację jakby łobuza krzyczącego na placu przed szkołą – stał się złośliwy, śpiewny, drwiący.

– Potraktowaliśmy ją wcześniej żyletkami i pigułkami, żyletkami i pigułkami, żyletkami i pigułkami...

– Rozkazuję ci, w imię Jezusa Chrystusa, wyjaw swoje imię!

Na twarzy młodej kobiety pojawiło się wyniosłe spojrzenie. Szyderczy uśmieszek znów powrócił, lecz stała za tym wszystkim inna postać, inna świadomość.

– Jestem wujek Seth – oznajmił męski głos. – Kochanek malutkich. Wyzyskiwacz małych dusz. Zabójca niewiniątek.

Słowa te brzmiały jakoś tak mechanicznie, rozwlekłe i niewyraźnie, jak stary, psujący się gramofon. Na ostatniej sylabie ręce młodej kobiety podniosły się do jej gardła i zaczęły się na nim zaciskać. Kobieta dusiła się; jej twarz stawała się sina. Asystenci kanonika rzucili się, by poluzować uścisk tych rąk, lecz okazało się, że nie byli w stanie tego zrobić.

Heather Mitchelson dusiła się na śmierć.

– Proszę – zawołał Joe – czy ktoś nie może czegoś zrobić?

Lecz kanonik uciszył go gestem ręki. Pouczył Joego, aby się nie odzywał, dopóki nie zostanie o to poproszony. W międzyczasie asystenci zaczęli odnosić zwycięstwo. Nie był to pierwszy raz, gdy musieli zmagać się z przejawem nienaturalnej siły pochodzącej od opętanych. Po walce wykręcili do tyłu ręce Heather i przytrzymali je, żeby nie wyrządziła już więcej krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu.

– Rozkazuję ci, w imię Jezusa, opuścić tę kobietę – ponaglił kanonik stanowczym głosem. Ten głos zaskoczył Joego swoją mocą i intensywnością. – Skrępowiałem cię i odebrałem ci twoją siłę do stawiania oporu...

Głowa Heather znów zaczęła się ruszać na wszystkie strony.

– Zabieramy ich w ciemność... zawsze w ciemność... w głębię ciemności. Idziemy za mistrzem w ciemność.

Głos ten łamał się pod wpływem autorytetu kanonika. Szyja opanowanej przez demona kobiety rozluźniła się, a jej głowa opadła na jedną stronę. Tak jak to już było na samym początku, oczy jej pozostały szeroko otwarte i nieruchome.

– Wyjdiesz spokojnie i nikomu nic nie zrobisz, jak będziesz wychodził! – rozkazał kanonik.

– Nie! Proszę, nie odsyłaj nas do *niego* – był to głos błagającego dziecka. – Nie możemy pójść do niego... Proszę, nie do tego zimnego miejsca. Potrzebujemy ciepła... ciepła ciał... mieszkać w krwi ciepłych ciał.

Głos zaczął skandować z wyraźnym zaniepokojeniem:

– ...ciepła, ciepła... działać dla mistrza w ciałach pełnych ciepłej krwi...

– Idź teraz do tego miejsca, które Pan Jezus Chrystus wyznaczył dla ciebie!

– ...zabijać rękami ciepłych ciał... szaleć w pocie, w krwi, w cieple...

– Tam pozostaniesz, dopóki On cię nie uwolni! – zagrmiał kanonik.

– ...patrzeć poprzez oczy ciepłych ciał... mieszkać w ciemności w krwi ciał... ciepłych...

Głos stawał się słaby i odległy. Kanonik był pewien, że ostateczne wydalenie jest blisko. Powiedział z nową siłą i autorytetem.

– W imię Jezusa Chrystusa, idź teraz w to miejsce, które wyznaczył dla ciebie Pan. W imię Jezusa Chrystusa, rozkazuję ci!

– Ciepła... prosimy, my potrzebujemy ciepła. Prosimy!

Asystenci zwolnili uścisk. Z zamkniętymi oczami Heather upadła do tyłu na podłogę. Zemdląca.

Kanonik mówił coraz silniejszym głosem, podczas gdy ucisk demonów słabł.

– Idź teraz w to miejsce, które Pan Jezus Chrystus wyznaczył dla ciebie, i tam pozostaniesz, dopóki On cię nie uwolni!

Coś zdumiewającego wydarzyło się w tym momencie. Nastąpiła radykalna zmiana, lecz zaszła w sposób niewidoczny dla wszystkich obecnych w pokoju. Joe mówi o niej jako o „zakończeniu”. Obecność demonów ustąpiła.

Młoda kobieta otworzyła oczy i wyraźnie zdezorientowana rozejrzała się wokół.

– Co ja robię na podłodze? – spytała w naiwności ducha. Zwróciła się w stronę młodego mężczyzny przy oknie. – Joe, co się dzieje?

Podobnie jak większość ofiar opętania, Heather nic nie pamiętała z tego, co przed chwilą miało miejsce. Przez niemal dwie godziny całe jej jestestwo było opanowane przez siły nie z tego świata. Teraz była tylko Heather Mitchelson.

Męka skończyła się. Złe duchy rodzinne zostały wyrzucone.



Zimą 1992 roku dwudziestoczteroletnia Heather Mitchelson mieszkała ze swoim partnerem, Joe Kilmartinem, w wynajmowanym domu na peryferiach Balbriggan. Jest to małe miasto w hrabstwie Louth i leży niewiele na północ od Dublina. Joe zarabiał na życie jako kierowca ciężarówki, a Heather pracowała w pralni chemicznej w mieście. Dla kogoś patrzącego z zewnątrz byli zwyczajną parą młodych ludzi, pozornie niewyróżniających się niczym szczególnym od swoich przyjaciół i sąsiadów.

Lecz pozory mylą. Jednak w środku, w swoim wnętrzu Heather nosiła blizny znoszonego przez lata maltretowania. Miała straszne nieszczęście urodzić się w rodzinie daleko odbiegającej od normalności.

Jej matka, Bernadette Rafter, miała zaledwie 17 lat, gdy urodziła swoją córkę. Jej małżeństwo z dwudziestosiedmioletnim wówczas

Dessiem Mitchelsonem było nieustannie rozgrywającą się katastrofą. Dessie był pijakiem, nieudacznikiem, który ponadto miał w sobie coś agresywnego. Była to mieszanka wybuchowa. Dessie nie potrafił nawiązywać relacji, ciągle sprzeczał się ze swoimi kumplami – i generalnie wyżywał się na swojej młodej żonie. Często ją bił, zupełnie bez powodu. Gdy Bernadette zaszła w ciążę z Heather, stało się to dodatkowym bodźcem, jakiego potrzebował, aby bić ją nawet częściej.

Nie skończyło się na tym. Narodziny dziecka miały na Dessiego jeszcze gorszy wpływ. Stał się zazdrosny o dawane dziecku dowody uczucia. Bicie znów się zaczęło. Nie potrzebował wiele czasu, aby zacząć znęcać się na noworodku.

Bernadette powinna była odczytać te oznaki niebezpieczeństwa, lecz – oczywiście – tak się nie stało. Była w ciąży jeszcze dwukrotnie za sprawą Dessiego; dwóch chłopców dołączyło do Heather, tworząc nieszczęśliwą rodzinę. Dessie znęcał się także nad nimi.

Jego alkoholizm stawał się stopniowo coraz gorszy; odpowiednio do tego życie domowe Heather i jej rodzeństwa robiło się nie do zniesienia. Często musieli po prostu uciekać z domu – czasami w samym środku nocy – i szukać schronienia u różnych krewnych. Z tego, co ludzie mówili, ci krewni nie byli wiele lepsi niż rodzice dzieci. Bernadette, w efekcie nadużyć, jakich dopuszczał się jej mąż, nie dawała już rady i spędzała długie okresy w zakładzie psychiatrycznym. Od czasu do czasu dzieci były oddawane do rodzin zastępczych.

Kiedy Heather skończyła 5 lat, zdarzył się wypadek, tragiczny zresztą w skutkach, w efekcie którego dzieci znalazły bardziej stały „dom”. Dessie zginął w wypadku samochodowym. Bernadette, oswobodzona wreszcie spod tyranii męża, zostawiła dzieci pod opieką swojej matki i wyjechała do Anglii w poszukiwaniu pracy. To się jej powiodło. Regularnie posyłała „babci Sal” pieniądze pochodzące z wynagrodzenia, jakie sama otrzymywała, przy założeniu, że z czasem wróci.

Nie wiemy, czy pod okiem babci Sal dzieci doznały znaczącej poprawy życia. Dom babki był rozpadającą się chałupą znajdującą się poza miastem. Biorąc pod uwagę środowisko rodzinne i wszystkie te okropności, na jakie narażone były dzieci od samego początku, można

by raczej przypuszczać, że ich codzienna rzeczywistość wciąż była pełna przygnębienia i lęku.

Teraz wiemy, że pomiędzy Heather i babcią Sal wytworzyła się silna więź. Jednak nie była to zdrowa i pełna miłości relacja, jakiej można pragnąć, lecz coś całkowicie złowrogiego. W okresie, kiedy mieszkała ze swoją babką, dziecko doznało inicjacji w świecie diabła – diabła, który miał ją dręczyć, przypominając o sobie w całym jej późniejszym życiu.

Dzieci spędziły z babką pięć lat życia; babcia Sal zmarła w 1978 roku. Bernadette wróciła do swoich dzieci, związała się z kolejnym mężczyzną, a rodzina stała się stabilną całością. A raczej można by żywić taką nadzieję. Lecz zło ma niezwykłą wprawę w wyszukiwaniu słabych i bezbronnych. „Ojczym” okazał się być dużo gorszym człowiekiem niż Dessie Mitchelson. Heather była przez niego wielokrotnie gwałcona. Aby dopełnić obrazu deprawacji, trzeba dodać, że mężczyzna wydawał się mieć ciche przyzwolenie matki, aby robić z jej dziećmi to, na co miał ochotę.

Narażeni na takie okropności, Heather i jej bracia mieli niewielką szansę na to, że kiedyś będą jeszcze prowadzić normalne, zrównoważone życie. Chłopcy weszli w dorosłość równie agresywni i dopuszczający się przemocy jak ich ojciec. Podobnie jak Dessie, nadużywali alkoholu i narkotyków i często wchodzili w konflikt z prawem. Heather natomiast na ogół wycofywała się w siebie; miała zaburzenia odżywiania, dwukrotnie próbowała się zabić i, podobnie jak jej matka, cierpiała przez przedłużające się okresy na depresję, co wymagało hospitalizacji.

Po przeżyciu drugiej próby samobójczej, gdy była właśnie w trakcie leczenia, miała szczęście poznać Joego Kilmartina. Odwiedzał swoją siostrę, która leżała na tej samej sali szpitalnej co Heather. Gdy Heather znów była zdrowa, Joe zaczął się z nią spotykać. Ich romans rozwijał się. Zamieszkali razem. Po raz pierwszy w życiu Heather doświadczyła stabilizacji i czuła się szczęśliwa. Po tym, jak musiała znosić agresywnego ojca, wykolejonych życiowo krewnych i ojczyma, który był pedofilem, znalazła w końcu „normalnego” mężczyznę.

Jej szczęście miało trwać niecałe dwa lata. W 1992 roku nastąpiło jej pierwsze doświadczenie związane z istotą nadnaturalną.

Tamten kontakt miał miejsce, gdy było już ciemno. Joego nie było w domu; często pracował nocami. Heather została zbudzona ze snu.

Na stojącym przy łóżku zegarze zobaczyła, że dochodzi trzecia nad ranem; wciąż było ciemno i miało być jeszcze ciemno przez kilka godzin, była to bowiem końcówka lutego.

W nogach łóżka Heather stała postać starej kobiety, wyraźnie widoczna w świetle rzucanym przez lampę uliczną znajdującą się blisko okna. Ta postać garbiła się, a na jej pokrytej zmarszczkami twarzy jawił się uśmiech.

Heather przeraziła się i miała czym. Patrzyła bowiem na kobietę, której nie widziała od czasu, gdy sama miała 10 lat. Babcia Sal nie żyła już od czternastu lat.

Babka miała na sobie coś, co mogłoby być bladoniebieską koszulą nocną, lecz równie dobrze mogłaby to być suknia balowa; była to długa, powłóczysta szata, której zarówno dekolt, jak i mankiety były obszyte falbankami. Heather chciała krzyknąć, lecz była tak przerażona, że nawet tego nie potrafiła zrobić. Cofnęła się do wezgłowia.

– Babciu Sal – odważyła się powiedzieć, zaskoczona tym, że w ogóle była w stanie wydobyć z siebie głos – czego chcesz?

Miała nadzieję, że jak coś powie, to zjawa zniknie i okaże się, że to był tylko sen. Ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwała, było to, że zmarła krewna coś jej odpowie. Podobnie jak większość ludzi, Heather doraślała z przekonaniem, że duchy nie są niczym więcej niż tylko jakimiś poruszającymi nas wyobrażeniami, jakimiś zjawami czy widmami, które z zasady nie nawiązują kontaktów z realnym światem żyjących. Teraz ta zjawa udowadniała, że Heather myliła się. Słowa, jakie wypowiedziała jej zmarła babka, napełniły ją skrajnym przerażeniem.

– Heather – powiedziała zjawa – wkrótce będziesz ze mną.

Jakby to jeszcze nie było wystarczająco przerażające, duch babci Sal posunął się dalej. Podniósł ręce do swojej szyi i wykonał gest duszenia.

Więcej słów nie zostało wówczas wypowiedzianych. Gdy opadły ręce, Heather zobaczyła pierścionek błyszczący na środkowym palcu starej kobiety. Przypomniała sobie, że jej babka zwykła nosić rzucający się w oczy pierścionek, lecz była tak poruszona, że nie potrafiła ustalić,

czy to był ten sam pierścień. Zjawą powoli zniknęła, rozplywając się w nicość – jak to czasami robią duchy. Heather trzęsła się ze strachu. Bo przecież nie można było inaczej rozumieć tych słów niż w ten sposób, że Heather miała wkrótce dołączyć do swojej babki w życiu pozagrobowym.

Niepewnym krokiem zeszła z łóżka, wołając rozpaczliwie Joego. Lecz jej głos przenikał ciemny, pusty dom, powodując, że czuła się jeszcze bardziej zrozpaczona i bezradna. On przecież tamtego dnia miał wrócić nie wcześniej niż dopiero po południe. Sama musiała stawić czoła temu, co się stało.

Było oczywiste, że już nie zaśnie. Wybiegła z sypialni, zatraskując za sobą drzwi. Do kogo mogła zatelefonować? Było po trzeciej. Chyba by ją zamknęli, pomyślała załamana, przypominając sobie o zarejestrowanym przecież przymusowym leczeniu psychiatrycznym matki i swoich własnych próbach samobójczych. Postanowiła resztę nocy spędzić na kanapie. Zachować spokój, poogląda sobie telewizję, napije się herbaty – wiele uspokajającej herbaty.

O ósmej już nie wytrzymała, zaczęła telefonować. Musiała opowiedzieć komuś o swoim przerażającym doświadczeniu. Próbowwała zadzwonić do siostry Joego, lecz nie mogła się do niej dodzwonić. Wiedziała, że przyjaciele wyśmieją ją. W ostateczności zatelefonowała do osoby, która była najbliższa ze wszystkich babci Sal: zatelefonowała do swojej własnej matki, Bernadette.

– Och, to ci się tylko przyśniło, córko – tak jak się zresztą spodziewała, w głosie matki brak było jakiegokolwiek niepokoju. – Nie zamierzam się tym przejmować.

– Nie, to nie był sen, mamó. Wcale nie spałam, a ona stała tuż obok mojego łóżka.

Heather była poirytowana obojętnością i brakiem zrozumienia, które odczytała z tonu głosu matki. – Miała na sobie jakąś taką niebieską suknię i zobaczyłam ten pierścionek, który zawsze nosiła. No wiesz, ten z dużym granatem czy co to było.

Po drugiej stronie linii zapanowała przedłużająca się cisza.

– Mamó, jesteś tam jeszcze? Mamó?

– W końcu też mogę być szczerą – powiedziała wreszcie Bernadette.
– Twoja babcia została pochowana w niebieskiej koszuli nocnej, a pierścioneł też poszedł z nią do grobu.

– O mój Boże, ja umrę! – krzyknęła Heather i zaczęła szlochać.
– Nie chcę teraz umierać. Nie chcę zostawiać Joego. Jestem z nim taka szczęśliwa. Co zrobi Joe?

Czekała, by wysłuchać kilku pocieszających słów, lecz w sercu wiedziała, że one nigdy się nie spełnią. Otarła łzy.

– Mamo, jesteś tam jeszcze?

– Nie bądź taką cholerną idiotką – powiedziała jej matka i rozłączyła się.

Tego już było za wiele. Nerwy Heather, zszargane po nieprzespanej nocy, wzięły nad nią górę. Wybuchnęła płaczem, osunęła się na podłogę i spazmatycznie zalewała się łzami.

Była już wcześniej w takim stanie. Dwukrotnie. Heather poczuła, jak stare lęki wracają, te lęki, które doprowadziły ją do granicy rozpacz w tych dwóch sytuacjach, gdy wybrała ostateczną drogę ucieczki. Dwukrotnie usiłowała skrócić sobie życie; dwukrotnie znalazł się na podorędziu ktoś, kto uratował ją przed nią samą. Teraz nie było w pobliżu nikogo.

Usłyszała coś. Było to coś takiego, czego Heather nie słyszała przez ostatnie dwa lata i miała nadzieję, że już nigdy więcej tego nie usłyszy. Lecz usłyszała to.

Ten głos – głos mężczyzny.

Przemawiał do niej tylko wtedy, gdy czuła się bezsilna i zrozpaczona. W przeszłości słyszała go czasami wewnątrz swojej głowy, innym razem na zewnątrz. Teraz dochodził skądś w głębi korytarza.

– *Żyletki są w łazience, Heather* – słowa te wypowiedziane zostały spokojnym, autorytatywnym tonem. – *Idź i zrób to teraz. Wiesz, że to ma sens.*

Sztywna z przerażenia Heather spojrzała w głąb korytarza. Nikogo nie było widać. Głos znów dobiegł, tym razem szybszy i bardziej naglący niż wcześniej, jakby wyklepując melodyjnie i miarowo te słowa niczym jakiś licznik.

– *Żyletki są w łazience, Heather. Idź i zrób to teraz. Żyletki są w łazience, Heather. Idź i zrób to teraz...*

– Nie! – krzyknęła, zakrywając rękami uszy. Lecz teraz ten głos był wewnątrz jej głowy i stawał się coraz mocniejszy.

– ...*zrób to teraz, zrób to teraz. Żyletki są w łazience, Heather. Idź i zrób to teraz. Teraz, teraz, teraz...*

– Przestań, przestań, przestań! – zawyła, zakrywając rękami twarz i zwijając się w kłębek.

Nagle, tak niespodziewanie jak zaczął, ten głos ucichł. Opuściła ręce, powoli i niezdecydowanie. Czy teraz była bezpieczna?

– *Wiesz, że to ma sens!*

Podskoczyła. Ten głos był blisko, tuż obok jej ucha; szeptał jej do ucha.

– *Wiesz, że to ma sens!*

Pojawił się silny zapach nikotyny. Heather krzyknęła.

Wujek Seth, partner matki, zawsze tak mówił i zwykle po dopuszczeniu się wobec niej jakiegoś obrzydliwego czynu.

– Zamknij się! – mówił, gdy ona wyła z bólu. – Nikomu o tym nie mów, Heather. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Wiesz, że to ma sens.

Lecz Seth zastrzelił się przed sześcioma laty. Jak to może być on?

Ociężała podniosła się z miejsca – i zdziwiła się, gdy odkryła, że po podniesieniu się natychmiast poczuła się lepiej. Spokój ogarniał całe jej ciało. Już się nie bała. Wiedziała, co miała zrobić.

– *Zrób to teraz. Zrób to teraz* – głos znów szeptał jej do ucha. Nie był już ostry, lecz powolny i kojący. – *Wiesz, że to ma sens. Żyletki są w łazience, Heather. Zrób to teraz. Wiesz, że to ma sens.*

– Tak... tak – Heather usłyszała samą siebie. Poczuli się zmęczeni; brak snu dawał się we znaki. Podeszła do podstawy schodów, a do jej uszu wciąż dochodził głos – powolny i kojący głos.

Umieściła stopę na pierwszym stopniu, słuchając hipnotycznego głosu. Wciąż była w koszuli nocnej i boso.

– *Żyletki są w łazience, Heather. Zrób to teraz. Wiesz, że to ma sens.*

Zaczęła wchodzić po schodach. Ten hipnotyczny głos zdawał się współgrać z jej krokami.

– *Zrób to teraz. Zrób to teraz. Zrób to teraz!*

Wpatrywała się w otwarte drzwi łazienki. Tam, w łazience, o czym dobrze wiedziała, leżało błogosławione uwolnienie. Śmierć wydawała się być czymś tak naturalnym. Cały jej niepokój gdzieś odpłynął. Te słowa były tak bardzo uspokajające.

Już prawie tam była. Drzwi łazienki pozostawały otwarte, były kuszące i zapraszające do środka. Heather spojrzała w dół na swoje nadgarstki. Każdy z nich nosił na sobie jakby podwójną obręcz z podwyższonej, twardej skóry, podobną do blizn, jakie kiedyś widziała w jakimś programie National Geographic. Mieszkańcy niektórych prymitywnych wysp lub przedstawiciele różnych pierwotnych ludów robili sobie coś podobnego; nacinali się i patrzyli na upływ krwi. Robili to w imię „piękna”. Była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Heather robiła to sobie już kiedyś; dwukrotnie. Mogła zrobić to jeszcze raz.

– *Zrób to teraz* – głos ponownie wyszeptał. – *Teraz. Zrób to teraz. Teraz. Zrób to teraz. Zrób to teraz.*

Stanęła w drzwiach łazienki, wpatrując się w szafkę.

– *Zrób to teraz. Wiesz przecież...wiesz przecież, że to ma sens* – ten głos – głos wujka Setha – dochodził jakby falami, ogarniając ją, popychając bliżej i bliżej w stronę „piękna” zapomnienia.

Sięgnęła po uchwyt szafki z takim samym pragnieniem, jakie czuje alkoholik, gdy sięga po pierwszy kieliszek dnia.

– *Zrób to teraz!* – głos przymilał się. – *Teraz...*

– Heather!

Zatrzymała się, zatrzymała się gwałtownie. To był inny głos, wtrącający się w głos Setha.

– Heather, jesteś tam na górze?

Wyszła do podestu. U podstawy schodów stał jakiś mężczyzna. W jej domu był jakiś obcy człowiek.

– Heather, to ja. Co się z tobą dzieje?

Spojrzała w dół na niego. Kim był ten facet? Co on robił w jej domu?

– *On chce cię zabić, Heather.*

Ten głos znów był w jej głowie, stał się gromki, natarczywy.

– *Nie schodź do niego na dół. Nie podchodź blisko do niego!*

– Heather? – mężczyzna powoli wchodził po schodach na górę.
 – Heather, dobrze się czujesz? To ja, kochanie, Joe.

– *To nie jest Joe!* – teraz głos stał się nagły. – *On tylko wygląda jak Joe. On chce cię zabić.*

– Heather? – słyszała, jak obcy mężczyzna mówi do niej jakby z ogromnej odległości. – O co chodzi? Co się stało?

– *Musisz pierwsza go zabić, Heather. Musisz!*

– Jezu, Heather, co się stało? – Joe miał później wyznać, że był przeżany. Nigdy wcześniej nie widział swojej partnerki w takim stanie. Jej oczy były szeroko otwarte i uparcie wpatrujące się w niego. Miał wrażenie, jakby była w jakimś transie.

Położył rękę na jej ramieniu. Na jego dotyk wzdrygnęła się. Patrzyła na niego w taki sposób, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Joe, co ty tutaj robisz?

– *P... się!* – powiedział głos. – *P... się, Heather! Jeśli mu o nas powiesz, będziesz naprawdę cierpiała. Naprawdę cierpiała!*

– Pomóż mi! – zawołała i padła w ramiona Joego.

Joe zrobił im kawy. Heather mogła w końcu opowiedzieć komuś o zjawie, komuś, kto wysłucha jej ze współczuciem. Powiedziała Joemu o babce i o tym, co ona oznajmiła. Nie miała odwagi opowiedzieć mu o głosie. Za bardzo się bała. To okropne, wyszeptane ostrzeżenie wciąż odbijało się echem w jej głowie.

Joe Kilmartin jest praktycznym, twardo stąpającym po ziemi, sceptycznym mężczyzną. Usłyszawszy relację Heather, oczywiście był pełen niedowierzania. Odrzucił całą tę sprawę jako zły sen. Nigdy w swoim życiu nie widział ducha i w konsekwencji nie wierzył w nie. Wcześniej często ganił swoją partnerkę za czytanie horoskopów i odwiedzanie wrózek. Jeśli chodziło o Joego, to myślał sobie, że skoro ona wierzyła w „te wszystkie bzdury”, to także była w stanie „zobaczyć różne rzeczy”.

Tamtego wieczora wyszli się czegoś napić i odwiedzili przyjaciół. Towarzystwo pomogło Heather odprężyć się. Gdy minęło kilka kolejnych nocy, podczas których miała Joego u swego boku i jednocześnie nie widziała już więcej zjaw przy swoim łóżku, Heather była gotowa przyznać,

że tamto doświadczenie równie dobrze mogło być jakąś iluzją spowodowaną stresem lub zbyt późnym kładzeniem się spać.

Nastał weekend, a szczególnie w piątkowe wieczory para miała pewien swój zwyczaj. Zbyt zmęczeni po tygodniu pracy, aby wyjść z domu i udzielać się towarzysko, kupowali sześciopak piwa, wypożyczali wideo i spędzali spokojny wieczór w domu.

W tamten piątek właśnie się rozsiadli i mieli już włączać odtwarzacz, gdy doleciał do nich z góry jakiś hałas. Ich sypialnia znajdowała się dokładnie nad pokojem dziennym. Słychać było coraz więcej odgłosów; miało się wrażenie, że coś albo ktoś tam się przemieszczał. Ale kto?

Heather zaczęła trząść się ze strachu.

– O, mój Boże! – zawołała. – To ona. Wróciła!

– Co, twoja babcia?

Wcześniej Joe nie mógł się już doczekać filmu „Terminator 2”. Ktoś mu go gorąco polecił i Joe nie zamierzał pozwolić na to, aby wytwór wyobraźni Heather przeszkodził mu w oglądaniu filmu.

– To tylko Rip – powiedział. Rip był ich młodym owczarkiem niemieckim. Pies znany był z tego, że buszował po domu.

– Nie, to nie może być on – Heather ogarnął paniczny strach.
– Wcześniej wypuściłam go na zewnątrz.

W tym momencie, jakby na zawołanie, Rip zaszczekał na zewnątrz na podwórku. Joe musiał znaleźć jakieś inne wyjaśnienie. Heather była już gotowa krzyczeć.

– W porządku, kochanie – powiedział – w porządku. Pójdę i sprawdzę.

Tak jak sądził, w sypialni nie było nikogo. Lecz poczuł coś, co opisuje jako „jakiś obrzydliwy zapach, coś jakby smród ścieków albo zwierzęcego moczu”. Zastanawiał się, co to mogło być. Otworzył okno, żeby przewietrzyć pomieszczenie, zamknął za sobą drzwi i wrócił na dół.

W połowie filmu znów się to wydarzyło. To drugie zajście przekonało Joego, że to nie była wyobraźnia Heather. Dokładnie ponad sobą usłyszał kilka głuchych odgłosów; miało się wrażenie, jakby ktoś skakał

z jednej części pokoju do drugiej. Te głuchoe dźwięki były głośne, tak ciężkie, że oświetlenie drżało. Joe zatrzymał wideo. – Sprawdź to – powiedział.

– Weź ze sobą Ripa, dobrze? – błagała Heather.

Czując narastający lęk, Joe wpuszczał do domu psa i wysłał go na zwiad. Lecz Rip nie wykonał polecenia; pies bał się wejść po schodach na górę. Przednimi łapami stał na dolnym schodku, czekając w górę na coś niewidzialnego.

Heather odchodziła już od zmysłów. Nie mogła pozostać w tym domu ani chwili dłużej. Breda, jedna z ciotek Joe, mieszkała kilka kilometrów od nich. Spędzą z nią noc. Musieli spakować torbę z rzeczami niezbędnymi do przenocowania, lecz Heather odmówiła pójścia na górę. Joe gotów był tym się zająć. Poszedł na górę i głośno walnął w drzwi sypialni.

– Lepiej wyp...łaj stamtąd, zanim tam wejdziesz! – ostrzegł, ze strachu wykazując się brawurą, choć wiedział, że nie utrzyma jej długo.

Popchnął drzwi, otwierając je szeroko, po czym pstryknął wyłącznikiem światła. Nie dało to żadnego skutku. Zaklął. Żarówka była przepalona. Musiał pakować torbę przy świetle dochodzącym z korytarza.

Nie namyślając się wiele, chwycił to, co miał pod ręką, i wypchał to do torby. Poczuł ten sam nieprzyjemny smród, mimo że okno pozostało otwarte. Nie powiedział o tym Heather.

Byli gotowi do wyjścia. Rip pojedzie z tyłu z torbami, które zostały wypakowane potrzebnymi na noc rzeczami. Joe podszedł do Heather i wypowiedział kilka słów otuchy. Ostatni raz spojrzał na dom.

– Zmroziło mi krew w żyłach – mówi. – Zerknąłem w górę na okno sypialni. Staliśmy przed domem. Pamiętam wyraźnie, że wtedy przecież otworzyłem okno. Lecz *ktoś* je zamknął.

To nie było jeszcze wszystko. Kiedy Joe tak patrzył, zobaczył coś, co wyglądało jak jakaś postać, która stała tuż za odsuniętymi zasłonami. Mógłby przysiąc, że widział ruszające się zasłony. Tego już było dla niego za wiele. Wsiadł do samochodu i szybko odjechali.

Nie powiedział Heather o tej postaci w oknie. Była wystarczająco przerażona.



Para spędziła trzy noce z ciotką Bredą. Jej dom był mały: wystarczający dla jednej osoby, lecz za ciasny dla trojga ludzi i psa. Ogólnie rzecz biorąc, był niewygodny dla każdego z nich. Breda bała się psów; Joemu przeszkadzała dezaprobata ciotki dla jego konkubinatu z jego dziewczyną; Heather czuła, że zawadzała w domu innej kobiety. Lecz jakoś sobie z tym poradzili.

Odjechali, gdy Heather poczuła, że może wrócić do domu. Breda, głęboko religijna kobieta, dała kuzynowi mały krucyfiks razem z nowenną i obiecała się za nich modlić. Zapewniła ich, że o ile wiedziała, żaden duch nigdy nikogo nie skrzywdził. Joe całym sercem się z nią zgodził. Po takich zapewnieniach, uzupełnionych obietnicą Joego, że zmodyfikuje harmonogram pracy, usuwając z niego nocne zmiany, Heather zgodziła się wrócić do domu.

Pojechali z powrotem za dnia i znaleźli swoje rzeczy w takim stanie, w jakim je zostawili. Joe wszedł najpierw do sypialni i poczuł ulgę, gdy się upewnił, że nie było już tego dziwnego odoru. Lecz okno było zamknięte i ten fakt zaniepokoił go.

Wcześniej kupił zapasowe żarówki, lecz okazały się zbyt cenne. W sposób niewytłumaczalny oświetlenie w sypialni normalnie działało. Poluzowana instalacja, pomyślał, i postanowił sobie, że to później sprawdzi.

Tamtej nocy Joe zasnął bez problemów. Z Heather było inaczej – długo leżała, nie mogąc spać, słuchając jego oddechu, aż w końcu ona także przysnęła.

Jednak o wczesnej godzinie coś ją obudziło. Miała wyraźne wrażenie, że ktoś pociągnął palcami po jej włosach. Wciąż czuła na skórze głowy mrowienie od dotyku.

Podniosła się na łokciu. Myślała, że pewnie zrobił to Joe przez sen; lecz Joe leżał odwrócony plecami do niej, śpiąc mocno. Położyła się ponownie i naciągnęła kołdrę na głowę.

Heather była całkowicie przebudzona, gdy stało się to po raz drugi. Palce jakiejś widmowej ręki nacisnęły głęboko w jej kark i niczym grabie

szybko przeczesaly jej włosy, w kierunku czubka glowy. Wszystkim, co zapamietala z tego, co nastapilo potem, byl jej krzyk, nad ktorym nie potrafila zapanowac, przestraszona twarz Joego i jego wyciagniete rece, aby ja pocieszyc.

Nastepnego dnia Heather nalegala, zeby znow sie wyprowadzili. Joe odmowil pomimo jej blagan. Myslal, ze ona dostawala obledu – co bylo zrozumiale, gdy uslyszało sie jej historie. Poradzil jej, zeby poszla do lekarza. Heather od razu odrzucila te sugestie. Powiedziala mu, ze nie jest chora. Przez cale dwa lata nie brala zadnych lekow i nie byla przygnębiona, nie odczuwala depresji. Byla przerazona – owszem, ale nie w depresji. Po raz pierwszy w zyciu doswiadczała stabilizacji: miala partnera, ktory ja kochal, miala dom i stala prace. Postanowila, ze nic nie zagrozi bezpieczenstwu, ktore z takim trudem wywalczyła.

Osiagneli kompromis. Joe przyrzekl, ze wyprowadza sie ponownie, jesli tylko *on* sam zobaczy lub jakoś odczuje obecność ducha. Heather nie miala innego wyboru, jak tylko sie zgodzic.

Joe wciaz nie powiedzial nic o tej nocy, gdy opuścili dom, aby wprowadzić się do jego ciotki. Lecz mial swoje powody.

– Nie byłem wcale pewien, co właściwie zobaczyłem tamtej nocy – wyznaje. – Mam na myśli to, że było ciemno; oboje byliśmy zdenerwowani. Myślałem sobie: być może to ja zamknąłem tamto okno. Być może widziałem tylko cień albo odbicie jakiejś chmury, albo jeszcze coś innego.

Następny tydzień upłynął bez żadnych znaków obecności ducha. Noce Heather pozostawały spokojne.

Jednak Joe miał inne obawy dotyczące swojej partnerki. Były to obawy, o których nie mógł powiedzieć nikomu, nawet swojej ciotce. Bał się zmiany, jaka zaszła w Heather.

Początek tej zmiany zaobserwował tamtego dnia, kiedy wrócił wcześniej z pracy, w tamten poranek, gdy zastał ją w łazience. Jej przypominające trans zachowanie zaintrygowało go. Najpierw pomyślał, że wzięła jakieś narkotyki, lecz potem zapewniła go, że nie brała ani narkotyków, ani nawet przepisanych na receptę leków.

Począwszy od tamtego dnia, Heather nie była już tą samą osobą. Nawet jej postawa stała się jakaś inna. Miało się wrażenie, że bardziej

się garbiła, a czasami, gdy siedziała, krzyżowała nogi w kostkach w taki sposób, jakby to robiła stara kobieta. Ten niemiły zapach, jaki najpierw wyczuł w sypialni, zdawał się ją otaczać. Ta dziwna woń przypominała zwietrzały mocz; Heather zawsze chlubiła się dbałością o higienę osobistą. Lubiała ładnie pachnieć.

Te anomalie natury fizycznej nie były same w sobie tak kłopotliwe, jak pogarszająca się relacja Heather z psem. Rip nie chciał chodzić blisko niej. To było bardzo nietypowe. Wcześniej Heather i ten pies byli wprost nierozłączni. Teraz Rip najwyraźniej nie chciał nawet przebywać z nią w tym samym pomieszczeniu i zostawał jedynie wówczas, gdy zjawiał się Joe.

Zdarzały się takie chwile podczas ich rozmów, kiedy Joe miał wyraźne wrażenie, że Heather nie słuchała jego, lecz kogoś innego. Przekrzywiła głowę na jedną stronę i chichotała. Pewnej nocy przyłapał ją na tym, jak w łazience rozmawiała z samą sobą. Język, w jakim mówiła, był niezrozumiały, nieprzypominający niczego, co kiedykolwiek wcześniej słyszał.

– Z kim tam rozmawiałaś, kochanie? – zapytał ją o to.

Spojrzała na niego w taki sposób, jakby oszalał.

– Chyba się przesłyszałeś – powiedziała po prostu. – Z nikim nie rozmawiałam. Myłam zęby.

Joe wciąż był gotów znosić te rzeczy. Dopóki babka ponownie nie ukazywała się Heather, życie było do zniesienia. Doszedł do wniosku, że jego widzenie tej postaci w oknie sypialni tamtego dnia najprawdopodobniej było iluzją.

Krucyfiks ciotki Bredy, który Joe umieścił w sypialni, najwyraźniej robił swoje.



Jego optymizm był krótkotrwały; babcia Sal miała wrócić. Tym razem nie czekała, aż w domu zrobi się ciemno i cicho, żeby dać odczuć swą obecność. Nie wybrała też sypialni.

Joe stanowczo utrzymywał, że pierwsze ukazanie się zjawy było wytworem wyobraźni Heather. Wciąż był sceptyczny.

– Uwierzę, kiedy zobaczę to na własne oczy – powiedział jej.

Był piątek, 6 marca. Para siedziała na kanapie i oglądała telewizję. Może nawet nie dowiedzieliby się nigdy o obecności ich „gościa”, gdyby Rip ich o tym nie powiadomił. Pies drzemał sobie na dywaniku przed kominkiem, gdy nagle, całkowicie niespodziewanie, poderwał się na cztery łapy. Zaczął wściekle szczekać.

Joe i Heather odwrócili się. W rogu, częściowo oświetlona przez stojącą lampę, stała postać starej kobiety. Była to babcia Sal. Heather zobaczyła, że miała na sobie tę samą niebieską koszulę nocną. Jej ręce były rozpostarte w powitalnym geście, a na twarzy miała ten sam co wcześniej przyklejony uśmiech.

Nie był to radosny uśmiech, lecz raczej całkowicie złowrogi. Heather była przerażona. Joe zaniemówił z wrażenia, jego sceptycyzm stopniał jak śnieg w rondlu. Lecz szybko doszedł do siebie i wstał.

– Wynos się stąd! – krzyknął na zjawę. – Wynos się! Nie chcemy cię tutaj! – to były pierwsze słowa, jakie mu przyszyły do głowy.

Lecz to nie poskutkowało. Stara kobieta ciągle stała, uśmiechając się nienawistnie. Heather wyła z przerażenia. Joe spróbował ponownie.

– Na miłość Chrystusa, wynos się! – krzyknął.

Po tych słowach zjawa podniosła ręce do gardła i wykonała gest duszenia, który już kiedyś tak przeraził Heather. I – tak jak wcześniej – po woli znikła.

Joe włączył światło. Rip skomlał, położył uszy po sobie, ogon schował pomiędzy nogi. Wydawał się wpatrywać w miejsce, gdzie wcześniej była zjawa. Joe zauważył, że sam też się tam wpatruje, próbując pogodzić się z tym, co przed chwilą zobaczył.

Usłyszał bulgoczący odgłos. Heather wciąż siedziała na kanapie; była odwrócona do niego plecami, a jej ramiona trzęsły się. Wyglądała tak, jakby miała jakiś atak.

– Heather?

Nie zareagowała. Bulgot stawał się coraz głośniejszy. Joe obszedł kanapę, stając na wprost niej. Nie mógł uwierzyć w to, co widział: był to najbardziej makabryczny widok, jaki kiedykolwiek zobaczył. Heather miała wytrzeszczone oczy; w świetle stojącej lampy widział, że jej twarz

była przebarwiona. Dusił się. Joe zobaczył tego przyczynę. Wyraźnie, „jak w jasny dzień” ujrzał dłoń zaciśniętą na jej gardle. Lecz nie była to ręka Heather. Tam, gdzie powinna być dłoń Heather, znajdowała się stara, pomarszczona dłoń, która próbowała wydusić z niej życie. Ta dłoń kończyła się nadgarstkiem chowającym się w obszyty fałbanką mankiet, a na jej środkowym palcu był mosiężny pierścionek.

Joe stał skamieniały z przerażenia. Był świadkiem czegoś niewyobrażalnego. Jego racjonalny umysł mówił mu, że to musiał być nonsens, że takie rzeczy się nie zdarzają. Lecz przecież nie mógł wątpić w coś, co widział na własne oczy. Heather została zaatakowana. Od morderczego uścisku tej dłoni jej twarz zrobiła się purpurowa, a jej oczy były przewrócone w taki sposób, że widać było tylko białka. Z trudem próbowała łapać oddech. Musiał działać.

Przewyciężywszy odrazę, chwycił żyłastą dłoń. Była zimna w dotyku i wydawała się niezmiernie silna, ścięgni i mięśnie sprawiały wrażenie nylonowych lin. Gdy próbował uwolnić Heather, ona chwyciła jego ramię „inną” dłonią, tą normalną. Słyszał, jak usiłowała wymówić jego imię.

Walczył jak oszalały. Lecz pomimo tej walki, zauważył kolejną niemożliwą rzecz.

– To była ta inna ręka – mówi. – Wiedziałem, że Heather próbowała mi pomóc. Chwyciła moje ramię i zaczęła ścisnąć. Ale to nie była jej ręka. Była to dłoń kogoś, kto miał długie paznokcie. Były jak szpony orła wbijające się w moje ciało. Lecz ja wiedziałem, że paznokcie Heather były obgryzione do żywego mięsa. Zawsze takie były. Ona była jedną z takich nerwowych osób, które zawsze obgryzają paznokcie.

Używając obu rąk i całej siły, jaką mógł zebrać, udało mu się w końcu rozewrzeć uścisk. Gdy to zrobił, poczuł pod swoją dłonią „coś ciepłego”, jakby ręka zjawy rozluźniła się.

– Kiedy znów spojrzałem – mówi Joe – trzymałem za dłoń Heather. Za jej *prawdziwą* dłoń.

Heather była wolna. Opadła na pleś, dusząc się i kaszląc i z trudem chwytając oddech. Później wyznała, że nigdy nie czuła się bliżej śmierci niż tamtego wieczora.

– Czy nic ci nie jest, kochanie? – spytał Joe, nachylając się nad nią. Mogła jedynie skinąć głową.

– Wychodzimy – powiedział. – Natychmiast! Wyprowadzamy się stąd.

Lecz babcia Sal jeszcze z nimi nie skończyła. W tym samym momencie usłyszeli nad sobą odgłos kroków, a po nim dźwięk otwierających się drzwi od sypialni.

Tego już było za wiele. Zebrali kilka rzeczy, w kuchni znaleźli torbę i pospieszyli do wyjścia. Joe przyniósł smycz Ripa i trzymał go obok siebie. Znowu spędzą noc z ciotką Bredą. Heather podeszła do drzwi.

Drzwi nie otworzyły się.

Klamka nie chciała się przekręcić. Była zablokowana. Pomyślała, że może system alarmowy był włączony. Jednak nie był. W jakiś niemożliwy do wytłumaczenia sposób klamka została zablokowana. Nie mogli wyjść.

– Ja to zrobię! – wrzasnął Joe.

Klamka ani drgnęła, jakby była przyspawana.

– O Chryste! – krzyknął Joe. – Co się, k..., dzieje?

Z góry doleciał ich odgłos szyderczego śmiechu. Odwrócili się, zdęci przerażeniem. Na górze schodów stała babka ubrana tak jak wcześniej. Śmiała się. Potem zaczęła rechotać. Był to głośny, mrozący krew w żyłach rechot.

Skoro drzwi się nie otworzyły, znajdą inną drogę, aby się wydostać, postanowił Joe. Biorąc Heather za rękę, ruszył z powrotem do pokoju dziennego. Rip warczał i skomlał na zmianę z przerażenia. Joe zaczął się siłować z oknem. Od lat nie było otwierane na oścież.

– O Jezu, pospiesz się! – błagała Heather.

Okno w końcu ustąpiło. Joe wyparł je na siłę. Rip nie potrzebował zachęty; dał susa na wolność. Za nim podążyła Heather. Po wydostaniu się na zewnątrz Joe nie zważał na to, że rama okienna upadła z łoskotem na ziemię. Usłyszał brzdęk tłuczonego szkła; nie dbał o to. Po chwili znaleźli się w bezpiecznym samochodzie.

W drodze do domu jego ciotki Joe z trudem odzyskiwał panowanie nad sobą. Bełkotał coś, przeklinał i trząsł się, nie mógł zebrać myśli.

Nie potrafił pogodzić się z tymi przerażającymi wydarzeniami. Rip leżał na tylnym siedzeniu, skomląc.

Lecz Heather była niesamowicie spokojna. Siedziała cicho, patrząc prosto przed siebie. Joe nie rozumiał tego. Czyżby ona była w szoku? Oboje doświadczyli niewyobrażalnie przerażających wydarzeń. Ona omal nie zginęła. Jak ona teraz, pytał sam siebie, może być taka spokojna?

– Heather, nic ci nie jest?

Nie odpowiedziała, jakby zupełnie nieświadoma tego, że on w ogóle coś powiedział.

– Heather? Kochanie?

Wciąż nie mówiła ani słowa. Zamiast tego błyskawicznie podniosła ręce, złapała za kierownicę i zaczęła skręcać samochodem, kierując go na niewłaściwą stronę drogi.

– Heather, co ty, k..., robisz?

Joe zaczął się z nią zmagać, próbując zapanować nad kierownicą, lecz z przerażeniem stwierdził, że nie jest w stanie sprostać jej sile. Jej ręce były jakby zablokowane w swoim położeniu, wymuszając kierunek kolizyjny. Jezdnia była niebezpieczna; przez większość dnia padał spory deszcz. Ich walka o przejęcie kontroli nad kierownicą w każdym momencie mogła wprowadzić samochód w poślizg.

Joe dostrzegł w oddali światła zbliżającej się ciężarówki.

– Heather, przestań!

Musiał zatrzymać samochód. Wiedział jednak, że przy próbie zbyt gwałtownego hamowania jazda może zakończyć się dachowaniem – albo czymś jeszcze gorszym. Przednie światła nadjeżdżającej z naprzeciwka ciężarówki znajdowały się już coraz bliżej.

– Jezu Chryste, Heather, przestań! – wrzasnął.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Heather puściła kierownicę.

Byli już na pasie ruchu nadjeżdżającej ciężarówki. Dzieląca ich od niej odległość błyskawicznie się zmniejszała. Joe usłyszał głośny ryk klaksonu; sześć bardzo intensywnych przednich świateł błysnęło, wprost zalewając ich samochód światłem i na wpół go oślepiając. Rip zaczął szczeleć jak oszalały. I pomimo wszystkich tych dźwięków i własnej

wściekłości, usłyszał coś, czego nigdy nie zapomni. Był to ten sam szyderczy śmiech, który kilka minut wcześniej wypędził ich z domu.

Teraz było ich w samochodzie czworo.

Gwałtownie szarpnął kierownicą, wyprowadzając samochód z toru ruchu ciężarówka, niemal się o nią ocierając. Zobaczył przed sobą drzewo, na które zaraz mieli wpaść. Jakoś udało im się uniknąć uderzenia. Ich samochód wylądował przednimi kołami w rowie. Ciężarówka pojechała dalej.

Joe opadł na kierownicę, zlany potem i trzęsący się. Nie był w stanie mówić. Rip skomlał i drapał w tylną szybę, chcąc się wydostać. Drwiący śmiech przeciągał się. Spojrzał na Heather – i zmroziło go. Siedziała z głową odchyloną do tyłu. Z jej gardła wydobywał się rechot.

Joe odnalazł w sobie głos.

– Co... co ty, k..., robisz? – krzyknął jej w twarz. – Prawie nas zabiłaś!

Przestała się obrzydliwie śmiać, odwróciła się i po raz pierwszy spojrziała na niego.

– Pomyślałam, że możemy się trochę zabawić – powiedziała bezbarwnym głosem.

Joe był przerażony.

– Przypuszczałem, że ona jest w szoku – tłumaczy. – Myślałem, że mogła dostać jakiegoś ataku czy napadu. Wiem tylko, że na pewno nie była sobą. Nie chciałem tego zrobić, lecz mocno uderzyłem ją w twarz. Pomyślałem, że to pomoże jej wyjść z tego.

Lecz Heather nic sobie z tego nie robiła, tylko dalej się śmiała.

– Zabawić! – krzyknął.

– Tak, zabawić. Bredy nie ma w domu. Była w pier...nym kościele i klepie te swoje bezsensowne modlitwy. Siedzielibyśmy więc przed jej domem, zbijali pier...ne baki i czekali na tę sukę.

– Co? – Joe nigdy nie słyszał, żeby Heather mówiła o jego ciotce w ten sposób. – Skąd wiesz, co teraz robi ciocia Breda? Nie mieliśmy czasu, żeby do niej zadzwonić.

– Wiem wszystko. Oni mi pokazują – przekrzywiła głowę na jedną stronę w działający mu na nerwy sposób. – Upuściła w autobusie te swoje pier...ne paciorki od różańca, więc będzie cholernie roztrzęsiona, kiedy tam przyjedziemy.

– O, mój Boże. Co w ciebie weszło?

– Nieźle, co? Teraz oni mi mówią, kiedy umrzesz – powiedziała to z uśmiechem, szeroko i obrzydliwie szczerząc zęby. Jednak pozostała część jej twarzy była nieruchoma; czoło i policzki naprężyły się, oczy miała szeroko otwarte i wlepione w niego.

– Nie chciałbyś wiedzieć? – ciągnęła. Ten głos był prowokujący i nie należał do Heather.

Joe był zaszokowany. Starał się coś mówić, lecz słowa uwieźły mu w gardle.

– Mam ci powiedzieć? – spytała szyderczo. Jej usta wykrzywiły się w pogardliwym uśmieszku. – No, to kiedy umrzesz?

Wciąż nie mógł mówić. Jego szczęką była jak sparaliżowana.

Jezu, pomóż mi! Te słowa nie wiadomo skąd zrodziły się nagle w jego świadomości. *Jezu, pomóż mi.* Starał się oswobodzić swój głos i w końcu to mu się udało.

– *Jezu, pomóż mi!* – zawołał, naciskając na skronie i zamykając oczy, jakby chciał uniknąć patrzenia na jakiś koszmar, który wcale przecież nie był koszmarem.

Nagle jakby urok został zdjęty. Rip przestał skomleć. Zapanowała śmiertelna cisza. Joe otworzył oczy. Bał się – bał się skierować oczy w stronę fotela pasażera.

– Heather – wreszcie odważył się powiedzieć w nadziei, że dźwięk jej imienia może spowodować jej „powrót”. Powoli, ostrożnie pozwolił sobie spojrzeć w jej stronę.

Siedziała prosto, wpatrując się przez przednią szybę w ciemny, wilgotny żywopłot.

– Ta suka już wróciła – powiedziała, jakby na wpół do siebie – więc możemy jechać.

Po tych słowach wysiadła z samochodu. Joe usłyszał z tyłu mocne uderzenie i poczuł, jak szarpnęło pojazdem. Zakrył rękami twarz i zaczął szlochać. Naszły go czarne myśli.

– Chyba sądziłem wtedy, że Heather zamierza mnie zabić – przypomina sobie Joe. – Właśnie mi powiedziała, że wie, kiedy umrę. Gdyby ktoś chciał cię zabić, czy nie wiedziałby tego – nie znałby chwili twojej śmierci?

Chciał za wszelką cenę uciec z samochodu, lecz śmiertelne przerażenie pozbawiło go całkowicie siły. Nie mógł się ruszyć. Nie było ucieczki. Mógł jedynie czekać i modlić się.

– Jezu, pomóż mi! – szlochał, błagając raz po raz. – Jezu, pomóż mi!

Usłyszał, jak drzwi pasażera otwierają się.

Ktoś wchodził do samochodu i sadowił się obok niego. Jakaś ręka potrząsnęła jego ramieniem.

– Co się stało? Joe, dlaczego się zatrzymaliśmy?

Spojrzał w przestraszoną twarz Heather. *Prawdziwa* Heather powróciła. Samochód nie tkwił już w rowie. W cudowny sposób położenie pojazdu powróciło do normy – stał teraz na trawiastym poboczu i był skierowany we właściwą stronę.

– Co się stało? – spytała ponownie Heather, niepokojąc się coraz bardziej.

Joe spojrzał na nią z niedowierzaniem. Robiła wrażenie całkowicie nieświadomej zamętu, jaki właśnie spowodowała.

– Joe, ty się mnie boisz – zaczynała płakać. – Co się właściwie stało?

– Ja... ja nie wiem – wykrztusił wreszcie. – Chyba... my chyba... wpadliśmy w poślizg.

Zaschło mu w ustach. Bolała go głowa. Był złany potem.

– Musiałam stracić przytomność, prawda? – spytała Heather. – Niczego nie pamiętam.

– Tak... tak, musiałas.

Uruchomił silnik. Ledwie miał siłę wjechać samochodem z powrotem na drogę.

Pozostałą część trasy przejechali w milczeniu. Kiedy w końcu podjechali pod dom ciotki, Joe modlił się, żeby zastać ją w domu oglądającą telewizję lub robiącą coś innego. Pragnął tylko, aby tam była. Żeby tylko nie usłyszał, pomyślał sobie, że jechała autobusem i że stały się te inne rzeczy; wszystko, tylko nie autobus.

Zadzwonił do drzwi. Breda otworzyła; miała na sobie kapelusz i płaszcz. Joemu zamarło serce w piersi.

– O rety, ale macie szczęście – powiedziała. – Właśnie wróciłam z Mszy.

Wiedział, że jej kościół parafialny był oddalony o dziesięć minut marszu. Nie musiała jechać tam autobusem.

Joe zastanawiał się, czy będą mogli znów zostać u niej przez kilka dni. Wydawało się, że przyjmowała tę sytuację spokojnie. Zrobiła im kawy. Widziała, jak zdenerwowany był jej krewniak. Zaczęła coś mówić, żeby go uspokoić.

– Czy uwierzysz? – spytała ze smutnym uśmiechem. – Zgubiłam w autobusie mój różaniec. Czy to do mnie podobne?

Joe poczuł, że traci głowę. Spojrzał z niedowierzaniem na Heather, lecz ona tylko pokiwała ze współczuciem głową.

– Kierowca okazał się bardzo dobrym człowiekiem – mówiła dalej Breda. – Wziął mój numer telefonu i powiedział, że do mnie zadzwoni, jak go znajdzie. Był z Lourdes, no wiecie, więc jeśli Bóg pozwoli, to ktoś go znajdzie i mi odda.

– Bóg pozwoli – powtórzyła grzecznie Heather. – Nie martw się, Bredo, jestem pewna, że różaniec się znajdzie, prawda, Joe? – spojrzała na niego z prośbą o potwierdzenie.

– No, ty... ty cholernie dobrze o tym wiesz, Heather, prawda? – był oszołomiony nierzeczywistością tej chwili. – Ty cholernie dobrze o tym wiesz!

Spojrzały na niego ze zdziwieniem. Ciotka Breda przyłożyła rękę do serca.

– Joe! Co ci się stało?

– Może powinnaś ją o to zapytać! – zawołał, wskazując trzęsącym się palcem na Heather. – Wiem, czego mi trzeba: mocnego drinka i uciec od *niej* najdalej jak to tylko możliwe!

Wyszedł z domu. Musiał побыć sam na sam ze swoimi myślami. Heather potrzebowała pomocy; oboje jej potrzebowali.

Następnego dnia, wskutek nalegań Joego, Heather poszła do lekarza. Po przeprowadzeniu z nią długiej rozmowy lekarz wziął Joego na stronę. Mężczyzna wyznał mu swoją konsternację; to, co usłyszał od Heather, nie miało sensu.

Joe opowiedział wszystko, co wiedział. Myślał, że lekarz będzie się śmiać, że oskarży jego i Heather o to, że marnują jego czas, opowiadając

mu o jakichś zabobonnych absurdach. Lecz on nie zrobił nic z tych rzeczy. Doradził natomiast coś, co bardzo niewielu lekarzy wzięłoby pod uwagę w takich okolicznościach. Zaproponował, aby Heather spotkała się z pewnym chrześcijańskim duchownym.

Znał odpowiednią osobą – najlepszego człowieka zajmującego się „zawodowo” uwalnianiem. Chociaż będą musieli odbyć pewną podróż: kanonik William H. Lendrum mieszkał bowiem w oddalonym o 130 kilometrów Belfaście.

Spotkanie zostało umówione i pewnego wiosennego wieczoru 1992 roku Heather Mitchelson i Joe Kilmartin stawili się w domu kanonika. Przedstawił ich swoim dwóm asystentom i rozpoczął się egzorcyzm. Kanonik sądził, że nie będzie to nic szczególnie uciążliwego i że wystarczy odprawienie Eucharystii...



Siedzimy w salonie w domu kanonika Williama Lendruma w Belfaście, podczas gdy on przytacza szczegółowe informacje dotyczące przypadku Heather Mitchelson.

W wieku 82 lat może on spojrzeć wstecz i zrobić bilans zdumiewających czterdziestu lat walki z demonami i innymi paranormalnymi istotami. Podczas tych lat, jak nam powiedział, natknął się na niewiele przypadków rzeczywistego opętania. Przypadek Heather był raczej wyjątkiem niż regułą.

I chociaż w ostatnich latach doświadczał stale wzrastającego zapotrzebowania na swoją posługę, wyraża życzenie, aby hierarchia kościelna przejawiała bardziej zdecydowane podejście do egzorcyzmu.

– Ludzie trochę się boją tego zagadnienia – mówi. – Nie życzą sobie, żeby im przypominano o tej brzydkiej stronie życia, tej bardziej przerażającej stronie. Wierzą, że jeśli będą otwarcie rozmawiać o takich sprawach, staną się bezbronni czy narażeni na atak. Najwyraźniej nie chcą przyjąć do wiadomości, że brak konfrontacji z tymi sprawami jest jak popuszczanie diabłu cugli, aby mógł robić, co zechce.

Wspomina Heather Mitchelson z czułością. Cieszył się, że mógł – jeśli nawet na jakiś czas, jak pokazały to dalsze wydarzenia – uwolnić tę młodą kobietę, która zadarła z takim złem, a mimo to toczyła z nim walkę.

– Gdy po egzorcyzmie Heather odzyskała przytomność, niczego nie pamiętała – mówi. – Jest to coś typowego. Demon może bowiem opanować całą świadomość. Wiedziałem, że przez cały ten czas nie mówiłem do Heather. Później powiedziała, że poczuła się w środku „piękna i czysta”, lecz zarazem „pusta”, jakby coś zostało wyciągnięte z jej wnętrza. Zmiana, jaka się w niej dokonała, była nadzwyczajna; całe jej zachowanie, a nawet jej głos, były inne. Modliłem się nad nią, a ona oddała swoje życie Jezusowi.

Jesteśmy ciekawi tego, czy Heather była opętana przez jej zmarłych krewnych, czy przez złe duchy. Kanonik ma w tej sprawie jasny pogląd.

– Jestem skłonny wierzyć, że zmarli nie wracają z żadnych ważnych powodów, ale że złe duchy mogą podawać się za zmarłych – mówi. – Katolicyzm utrzymuje, że dusze czyścicowe mogą wracać, aby prosić o modlitwy, ale to jest co innego. Jest niewykluczone, że w przypadku Heather zarówno wujek, jak i babka byli oboje za życia opętani przez demony. Myślę, że to było nawet wysoce prawdopodobne. O ile wiem, nie kładziono żadnego nacisku na życie modlitewne, dlatego nie było obrony przez złem. Nie jest to osąd, a jedynie proste stwierdzenie faktu.

Kanonik Lendrum szybko zaznacza, że egzorcyzm będzie skuteczny tak długo, jak długo osoba, której on dotyczy, dotrzymuje swojej części umowy. Właśnie tak on rozumie egzorcyzm: jako umowę. Kiedy nad jakąś osobą odprawiany jest egzorcyzm, to ta osoba zawiera umowę z Bogiem mówiącą o tym, że będzie ona „podążała uczciwą drogą”.

– Chciałbym podkreślić, że nie sam egzorcyzm jest dla mnie najtrudniejszy – mówi. – Najtrudniejsze jest zachęcenie osoby, która nigdy nie była religijna, do powrotu do Boga po uwolnieniu jej spod wpływu demona. Heather była jedną z takich osób.

Bo wiecie, ona nigdy nie była uczona o Bogu. Przypomniało mi to ten przypadek ostrzeżenia z Księgi Wyjścia, ten o grzechach ojca, które ciążyą nad dziećmi aż do trzeciego lub czwartego pokolenia.

Dziecko, które nie uczyło się od rodziców o miłości i litości Bożej, jest łatwym celem. Ojciec z tamtego przypadku był bardzo gwałtowny i brutalny – jak jej ojczym. Znoszenie czegoś takiego dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku, ma straszny wpływ na dzieci. Są one poddawane w ten sposób ogromnemu „napięciu psychicznemu”.

Dobrze tu widać, jak zło może być rozpowszechniane poprzez pokolenia, jeśli osoby, których to dotyczy, nie mają ani hartu ducha, ani koniecznych zasobów, aby położyć temu kres. Możecie być pewni – mówi z westchnieniem – że walka szatana o nasze dusze opiera się na poniżeniu, upokorzeniu czy dewaluacji naszego człowieczeństwa i to tak wcześnie, jak to jest tylko możliwe w okresie naszego dzieciństwa.

Jest zasmucony, że Heather Mitchelson miała tak małą szansę w życiu i że od najwcześniejszych chwil była wystawiona na takie niebezpieczeństwo.

– Po egzorcyzmie odwiedziłem ją kilka razy i znalazłem ją pełną pokoju – mówi. – Jednak z Belfastu do Balbriggan jest dość daleko i z tego powodu nie mogłem bywać u niej z wystarczającą częstotliwością, więc oddałem ją pod opiekę innego pastora, który mieszkał bliżej.

Kanonik robi pauzę. Wygląda na smutnego i przybitego.

– Och, jakże żałuję, że nie mogę powiedzieć, że ta kochana dziewczyna odnalazła pokój w tym życiu! Była ona bardzo, bardzo nieszczęśliwa – od samego początku swojego życia aż do jego końca. Bo widzicie, sześć miesięcy po egzorcyzmie umarła. I to zginęła ze swojej własnej ręki. Była to trzecia próba samobójcza i tym razem powiodła się. Tamtego dnia nie było przy niej Joego. Nie było nikogo, kto mógłby ją powstrzymać, przekonać ją, dać jej pomoc, jakiej pragnęła. Powiesiła się na lampie w swojej sypialni. Udusiła się.

– A więc w końcu, niestety, babka rzeczywiście dopięła swego.